STRON 8

ROK V • NR. 5 /189/

NIEDZIELA

4 LUTEGO

LONDYN • 1951

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

W NUMERZE:

WOJCIECH ZALESKI

WSPÓŁCZESNE NIEMCY (II)

W POSZUKIWANIU ŁADU WOLNOŚCI

NAJBARDZIEJ niewątpliwie wpływową szkołą ekonomiczną w Niemczech współczesnych jest grupa neo-liberalna, skupiająca się dokoła rocznika „Ordo". Charakterystyczna jest już i nazwa ich wydawnictwa, posiadająca nieco inny wydźwięk niż typowe hasła liberalne i skład grona ekonomistów, piszących w tym roczniku. Obok ekonomistów czynnych w Niemczech wybitną rolę odgrywają w tej grupie tacy, którzy wyemigrowali jeszcze po przewrocie hitlerowskim i dziś rozrzuceni są po katedrach uniwersyteckich całego świata. Wymienić tu należy Hayeka z Londynu, Hahna z Nowego Jorku, Lutza z Princetown, Roepkego z Genewy i Rüstowa ze Stambułu. W Niemczech najwybitniejszym eksponentem tej grupy i zarazem redaktorem rocznika „Ordo" jest Walter Eucken.

Wszystkie te nazwiska mają w dzisiejszej nauce swój duży ciężar gatunkowy na terenie międzynarodowym. Podnosi to znaczenie ruchu, koncentrującego się dokoła kraju pochodzenia uczestników, ale wywierającego wpływ, wykraczający znacznie poza granice Niemiec.

Już w krótkiej, programowej przedmowie do pierwszego tomu rocznika „Ordo", który ukazał się w połowie 1948 r. redaktorzy Fuchen i Böhm bardzo wyraźnie akcentują charakter programowy, a nie tylko badawczy swego wydawnictwa. Program polega na stanowczej obronie zasady wolnego współzawodnictwa, odrzuceniu wszelkich form gospodarki planowej, oraz „*negatywnym* sądzie" o t.zw. wolnej gospodarce, w której urzeczywistniono zasadę „laisser faire."

„Doszliśmy do przekonania — piszą autorzy przedmowy — że nieograniczona wolność w działalności gospodarczej prowadzi ... do przeciwieństw między interesem jednostek, a interesami ogółu, do skupienia w ręku nielicznych jednostek przemocy gospodarczej, która jest gospodarczo i społecznie nie mniej szkodliwa niż omnipotencja państwa."

Nie trzeba chyba Czytelnikom ŻYCIA zwracać uwagi, co przypomina to sformułowanie. Dotyczy ono stwierdzenia pewnej oczywistości gospodarczej, do którego można było dojść drogą czysto indukcyjną. Ale już prolog do pierwszego tomu, który wyszedł spod pióra nieekonomistki (Edith Eucken - Erdsiek), świadczy o tym, że autorom chodzi o głębszą rewizję podstaw myśli liberalnej. „Pragnąć wolności to znaczy dążyć równocześnie do wolności własnej i cudzej, do wspólnego dopełnienia konieczności". Ideał wolności nie polega tu na absolutnej swobodzie jednostki, lecz na „dążeniu do poznania koniecznego ładu, odnalezienia drogi prowadzącej do włączenia się w jedność wszechświata... Wewnętrzny świat człowieka żyje z siły, płynącej ze źródeł jedności".

Istnieją tu, jak widzimy, dwa wyraźne źródła rewizjonizmu. Jedno konkretne, oparte na obserwacji zjawisk gospodarczych, drugie głębsze, polegające na dążeniu do wyprowadzenia zasad samego ustroju gospodarczych z przesłanek pozagospodarczych.

Mechanizm gospodarczy w tym ujęciu przestaje być już maszyną, działającą samoczynnie według swoich praw, niejako w oderwaniu od pozagospodarczych przeznaczeń człowieka. Obrona wolnego współzawodnictwa, a raczej atak na pozycje kapitału, likwidującego to współzawodnictwo, nie jest już tylko dążeniem do zapewnienia ustroju, gwarantującego najwyższy dochód społeczny, ale fragmentem walki o wolność człowieka, pojętej nie jako wyzwolenie od nakazów moralności, ale wprost przeciwnie, jako przezwyciężenie przemocy, krępującej swobodę powrotu ku jej źródłom. Może takie ujęcie celów wolności nie jest wspólne bez zastrzeżeń wszystkim autorom grupy „Ordo", ale w każdym razie są oni zgodni ze swoim mistrzem Hayek'em w krytycznej ocenie indywidualizmu *racjonalistycznego*, prowadzącego ich zdaniem pośrednio do kolektywizmu.

Wróćmy jednak do naszego właściwego tematu, to jest do polityczno-gospodarczych założeń szkoły. Wykazuje ona, że gospodarka planowa nie da się pogodzić żadną miarą z urzeczywistnieniem ideału wolności człowieka i musi prowadzić do tyranii. Jeśli idzie o pełne planowanie teza ta jest niewątpliwie słuszna. Analizy, wykazujące jakimi drogami ograniczenia wolnego współzawodnictwa, czy to wychodzące ze strony państwa, czy to ze strony kapitału zorganizowanego, pociągają za sobą konieczność coraz dalej posuniętych interwencji fragmentarycznych, obalających w końcu zasadę wolnego współzawodnictwa, są zaktualizowane, ale nie przynoszą teoretycznie wiele nowego.

Na uwagę zasługuje natomiast jedna cecha charakterystyczna szkoły neoliberalnej. Przeciwstawia się ona mocno teorii pełnego zatrudnienia, która dziś jest teorią panującą w krajach anglosaskich. Nie sposób tu dawać całego traktatu ekonomicznego, muszę więc pominąć całą teoretyczną stronę krytyki (najmocniej ufundowaną u Hanha), a ograniczę się do zacytowania najogólniejszych wniosków z tej krytyki wynikających.

Polityka taniego pieniądza i wydatkowania przez państwo, jako panaceum na bezrobocie, jest w gruncie rzeczy leczeniem objawów choroby, wynikającej z wyeliminowania samoczynnych procesów regulacyjnych. Polityka ta leczy bezrobocie, będące objawem choroby, a pogłębia samą chorobę. Pełne zatrudnienie nie może być uważane za cel sam w sobie — jeśliby tak było, należałoby uważać ustrój niewolnictwa za ideał, niewolnicy bowiem nigdy nie są bezrobotni. Celem polityki gospodarczej jest jak najlepsze zaspokojenie potrzeb a bezrobocie jest albo wynikiem przejściowych wahań przystosowawczych, albo unieruchomienia aparatu przystosowawczego. Polityka taniego pieniądza, względnie „governemental spending", jako śodka przezwyciężenia przejściowego bezrobocia, wynikającego z unieruchomienia części aparatu wytwórczego we *wszystkich* działach wytwórczości nigdy nie była kwestionowana. Natomiast stosowanie polityki taniego pieniądza poza te granice, aż do osiągnięcia pełnego zatrudnienia, pociąga za sobą naruszanie roli *ceny* jako regulatora wytwórczości i miernika braku poszczególnych produktów, doprowadza bowiem do wzrostu cen w działach o już wyzyskanej zdolności wytwórczej oraz do nieodpowiadającego potrzebom spożywców uruchamiania aparatu wytwórczego, który byłby nadaremnie rozbudowany. Za cenę pełnego zatrudnienia obniża się skalę realnych zarobków.

Stąd polityka pełnego zatrudnienia jest doskonałym narzędziem osiągania celów, jakie sobie wytknie państwo totalistyczne, ale kiepskim narzędziem podnoszenia dobrobytu.

Z punktu widzenia możliwości *powrotu* do wolnego współzawodnictwa najbardziej interesujące jest zestawienie tych urządzeń gospodarczych, wzgl. tych form prawnych, które zdaniem omawianej grupy przyczyniły się do powstania ośrodków przemocy gospodarczej, współzawodnictwo to likwidujących. Lista jest bardzo długa i wyjmujemy z niej ważniejsze pozycje:

1) Prawomocność umów kartelowych.
2) Prawo o spółkach akcyjnych i spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością.
3) Prawo patentowe w obecnej formie.
4) Podatek obrotowy (faworyzowanie koncernów pionowych).
5) Stwarzanie autonomicznych norm prawnych, przez wielkie przedsiębiorstwa, w postaci „ogólnych warunków sprzedaży", które w praktyce niemal wyeliminowały ogólne normy prawa handlowego, zastępując je prawem niby umownym, a w rzeczywistości narzuconym przemocą.
6) Pozostawienie wielkim przedsiębiorstwom daleko idącej swobody przerzucania na ogół skutków nadmiernej koncentracji technicznej przemysłu, jak zanieczyszczenie powietrza wielkich miast, skażenie wód, obniżenie przez to ogólnego poziomu zdrowotnego.:
7) Nieograniczona swoboda reklamy.

To zestwienie łącznie z różnymi mniej ważnymi momentami uchodzić może za rozwinięcie listy nadużyć kapitalizmu, znanej z pism dystrybucjonistów. Podobna jak u dystrybucjonistów jest też ocena genezy współczesnych bogactw, skupionych w ręku nielicznych posiadaczy.

„Mimo wielu plutokratycznych interferencji — pisze Rüstow — dzidzisiejsi bogacze są na ogół zawsze spadkobiercami dawnych zdobywców, ich stanu posiadania, jak zresztą i ich umysłowości, a także nieliczni selfmademani wśród nich działali przeważnie w tym samym duchu i przy pomocy odpowiadających temu duchowi metod". Cytowane z aprobatą przez Rüstowa zdanie św. Hieronima „unde et illa vulgata sententia mihi videtur verssima: omnis dives aut iniquus, aut iniqui heres" charakteryzuje tę postawę dostatecznie.

Trzeba powiedzieć, że przeprowadzenie programu polityczno-gospodarczego neoliberałów byłoby zadaniem napewno trudniejszym, niż postawienie komunistycznej kropki nad ustrojem, w którym stopniowe monopolizowanie ważniejszych działów wytwórczości i wymiany przygotowało grunt do pełnej gospodarki planowej. Szczególnie dwa momenty czynią to dziś niemal niewykonalnym w tej formie, w jakiej to planują jego zwolennicy. Oto po pierwsze tylko sami managerzy wiedzą, jak dalece szereg drobiazgowych reform mógłby obalić ich rządy i zmienić kierunek ewolucji. Po drugie tak długo, jak długo gospodarka największych potęg będzie skierowana ku utrzymaniu pogotowia wojennego, nie ma realnych szans jego poparcia przez którykolwiek aparat państwowy. Skupienie przemocy gospodarczej (*Vermachtung*) jest bardzo wygodne w okresie wojny, gdyż wówczas chodzi właśnie o zduszenie potrzeb ludzkich i obniżenia ich skali życia, by móc zyskac masowe dostawy materiałów uzbrojenia. W rezultacie programu konsekwentnego powrotu do wolnego współzawodnictwa nie poprze żadna z decydujących sił: ani managerzy, ani państwo, ani robotnicy.

* * *

Trzeba jeszcze zatrzymać się przez chwilę nad stosunkiem grupy „Ordo" do katolickiej nauki społecznej. Niewątpliwie stoi ona wyraźnie w wielu sprawach pod jej wpływem. Natomiast jej stosunek do programu korporacyjnej przebudowy jest wyraźnie krytyczny. Specjalnie temu zagadnieniu poświęcona jest krótka rozprawka Hansla w drugim roczniku „Ordo". Wylicza on różne możliwe zadania organizacji korporacyjnych: a) wychowawcze, b) charytatywne, c) doradcze wobec władz państwowych, d) regulujące wewnętrzne sprawy przedsiębiorstw, nie dotyczące „stosunku rynku między przedsiębiorcami i robotnikami" i wreszcie e) funkcje polegające na regulowaniu rynku. Zajmując pozytywne stanowisko wobec zadań od a) do d) Hansel wyraża przekonanie, że powierzenie korporacjom funkcji regulowania rynku automatycznie doprowadzi do powstania tendencji monopolistycznych, które z kolei zrodzą potrzebę regulowania rynku przez państwo. Tą drogę — zdaniem Hansla — zasada subsydiarności będzie pośrednio naruszona.

Pozostawiając sobie na później ocenę tego stanowiska, pragnę zauważyć, że żadna z encyklik społecznych nie zawiera zlecenia, by powierzać korporacjom regulowanie rynku. O tyle więc krytyka Hansla dotyczy interpretatorów encyklik, względnie tych autorów, którzy na tle myśli encyklik rozwijają swoje własne koncepcje.

Wojciech Zaleski

O PRAWDZIWYM POKOJU

Rzymski dziennik Akcji Katolickiej „Il Quotidiano" zajmuje sie w artykule wstępnym, podpisanym przez O. Brucculeri T.J., problemem prawdziwego pokoju. Artykuł ten, którego właściwy tytuł brzmi „*Nasz Pokój*", zasługuje na uwagę tak ze względu na treść, jak i na osobę autora.

O. Brucculeri przypomina, że Kościół zawsze odnosił się z największym wstrętem do wojny: „a peste, fame, bello, libera nos, Domine": od powietrza, głodu, i wojny zachowaj nas Panie. Z drugiej strony Kościół zawsze robił wszystko, by zagwarantować ludziom pokój i zachęcał wszystkich do pracy nad pokojem: „beati pacifici, ossia pacem facientes". Ale pokój, o który walczy Kościół, różni się od chimerycznych i naiwnych a często niemoralnych koncepcji pokojowych pacyfistów. Pokój, do którego dąży katolik, nie jest pokojem o treści czysto negatywnej, pokojem, uzyskanym dzięki wyrzeczeniu się wszelkiego sprzeciwu. Tego rodzaju pokój byłby pokojem zastoju i śmierci. Pokój katolika nie jest też pokojem za wszelką cenę, to jest pokojem, który by miał wartość bezwzględną, której by należało wszystko poświęcić. Tego rodzaju pokój, a raczej parodia pokoju, musi być przez katolików odrzucona. Niektóre sekty, jak mennonici lub kwakrzy, przyjęli go, nie tak dawno jeszcze głosił go Tołstoj: Kościół może jednak tego rodzaju pokój tylko odrzucić. Musi go odrzucić w imię obrony osoby ludzkiej i jak najświętszych praw do wolności i sprawiedliwości. Pokój, który by nie stał na usługach tych najwyższych dóbr, byłby nieprzebaczalną ohydą, nieuczciwym wyrzeczeniem się, wyzbyciem się właściwej treści.

Właśnie w tych dniach tak decydujących dla Europy jesteśmy świadkami prawdziwej eksplozji uczuć pokojowych ze strony improwizowanych miłośników pokoju. Walczą oni w obronie interesów, które nie są ich własnymi, a zwracają się ze swymi rekryminacjami tylko do jednej strony: w ten sposób czynią się propagatorami pokoju, którego rezultatem byłoby nowe barbarzyństwo i powszechna niewola wolnych narodów. Ci tak zwani partyzanci pokoju powinniby, gdyby nie byli w złej wierze, zwrócić się przede wszystkim do tych, którzy uniemożliwiali dotychczas wszelkie inicjatywy pokojowe, podejmowane przez Organizację Narodów Zjednoczonych: do tych, którzy w Grecji, w Indonezji, w Tybecie, w Korei, wzniecili pożar wojny. Wobec rządu, który nie chciał demobilizować i uzbrojony jest po zęby, który ani na chwilę nie ustaje w swoich przygotowaniach wojennych, pchany naprzód przez demona ekspansji, jedynym środkiem powstrzymania jego ambicji i uchronienia pokoju może być tylko odpowiednie przygotowanie obronne narodów wolnych, które czują się zagrożone. Nie pozostaje nic innego, jak uciec się do obrony własnej, nakazanej przez roztropność a utrzymanej na wysokości powagi niebezpieczeństwa.

W tych ciężkich okolicznościach każdy pokój, bez odpowiedniej obrony, byłby tylko maską, za którą kryje się groźba niewoli dla ojczyzny, utraty wolności dla człowieka, groźba pogromu dla cywilizacji.

X. WALERIAN MEYSZTOWICZ

KATOLICYZM POLSKI

KOŚCIÓŁ Katolicki, Jeden, Święty, Apostolski, jest społecznością wiernych, w której każdy z nas jednoczy się bezpośrednio z Bogiem, przez sakramenty i modlitwę. O tyle jesteśmy zjednoczeni z Bogiem, o ile jesteśmy żywymi członkami Ciała Mistycznego Chrystusa: podobnie jak poszczególne komórki żywego organizmu o tyle są związane z jego duszą, o ile do tego organizmu istotnie należą. Każdy wierny, przez udział w Kościele, ma bezpośredni stosunek z Bogiem.

Jednakowoż, od zarania dziejów Kościoła, wierni w nim łączyli się w poszczególne społeczności kościelne, i już św. Jan mówi o siedmiu kościołach Azji: o kościołach Efezu, Smyrny, Pergamu, Tiatyry, Sard, Filadelfii; (Ap. 1,11). Widzi Apostoł w każdej z tych społeczności inne cechy, inne potrzeby, inne braki, innymi słowy do każdego przemawia. Dla niego katolicyzm katolików efeskich czy sardyjskich jest inny niż katolicyzm pergamski czy laodycejski: nie gorszy, czy mniej katolicki: ale inny.

I dziś Kościół Powszechny nie jest zbiorem rozsypanych ziarnek piasku: jest harmonijną wspólnotą chrześcijańskich narodów; należą doń, jak do drzewa, nie tylko poszczególne komórki, poszczególni wierni, ale i całe gałęzie i konary, plemiona, narody i państwa. Społeczność kościelna polska jest jedną z tych społeczności wewnątrz jedynego Kościoła, i zajmuje w chórze innych swoje własne, przez żadną inną nie zastąpione miejsce. Każdy wierny w Kościele, Hiszpan czy Polak, Chińczyk czy Irlandczyk, jest w bezpośrednim stosunku z Bogiem; Kościół jest jeden; ale istnieje katolicyzm hiszpański i polski, chiński i irlandzki i każdy z nich ma własne cechy, własną odrębność, swoje własne miejsce, własne blaski i cienie, własne cierpienia i rany, własne dzieje. Każdy też ma stopień świadomości swojej roli, swego miejsca w Powszechnym, Jednym Kościele Chrystusowym.

Jeżeli o tych znanych, a bezspornych rzeczach piszę, to po to, by podkreślić jedną z cech Kościoła polskiego, którą jest jego głęboka hierarchiczność, głębokie poczucie roli księży i biskupów w życiu kościelnym. Cieniem tego poczucia jest zostawienie, do ostatnich czasów, Episkopatowi i klerowi nie tylko należnej mu, przodującej roli w życiu katolicyzmu polskiego — ale nawet prawie wyłącznej roli czynnej. Wynika z tego zejście katolików świeckich do roli jedynie owczarni, gdzie tylko pasterz ma świadomość stanowiska, znaczenia, odrębności i potrzeb stada. Zbliżając się jeszcze bardziej do istoty zagadnienia podkreślę, że polscy katolicy świeccy, nawet najbardziej wykształceni teologicznie, rzadko tylko zdają sobie sprawę z tego, czym jest katolicyzm polski.

Przyczyn na to złożyło się wiele. Podkreślmy m. i., skrępowanie przez zaborców, w XIX wieku, naszej myśli kościelnej; związane z tym braki w naszym kościelnym dziejopisarstwie; konieczność zwrócenia uwagi i skierowania wysiłku apostolskiego w kierunku mas, z nieuniknionym pozostawieniem na drugim planie sfer wykształconych; wynikłe stąd braki w wykształceniu w dziedzinie kościelnej u inteligencji, której umysły zniekształcał jeszcze dodatkowo, w XIX wieku, wpływ niechrześcijańskiej kultury naszych zaborców. Wspaniały wysiłek w kierunku dokształcenia religijnego inteligencji, w okresie między wojnami, czeka jeszcze na dokładny opis; dokonano w ciągu tych dwudziestu lat wiele — nie zdołano wypełnić wszystkich luk.

Czynniejsza rola świeckich, szczególnie inteligencji, w życiu Kościoła, do której nawoływali Papieże Akcji Katolickiej, zaczęła się u nas później, niż na zachodzie i mimo zdumiewających osiągnięć w tej dziedzinie w okresie dwudziestolecia niepodległości, nosiła w znacznej mierze cechy wtórne, cechy naśladownictwa, lub przynajmniej opierania się na wzorach belgijskich, francuskich, włoskich. Stąd wśród katolików polskich znalazło się wielu, którzy z jednej strony nie znając historii Kościoła w Polsce, z drugiej widząc jak wzory do akcji katolickiej są czerpane z zewnątrz, niedostatecznie sobie uświadomili nie tylko odrębność, ale i właściwe wspaniałości i blaski Kościoła polskiego. Olśnieni nowymi dla siebie cechami życia katolickiego w innych krajach, — głębokim wykształceniem teologicznym inteligencji francuskiej, i rozmachem ich akcji misyjnej; świetną organizacją katolików niemieckich; rozkwitem życia zakonnego we Włoszech i w Hiszpanii i gęstością sieci kościołów w tych krajach; ofiarnością materialną katolików irlandzkich, szczegolnie amerykańskiego ich odłamu: — widząc w tych właśnie dziedzinach braki w katolicyźmie polskim, doszli prawie do przekonania, że nasz katolicyzm jest „w rozwoju opóźniony”, „zacofany”, że jest czymś słabszym i mniej wartościowym od katolicyzmu innych narodów. Stąd już był krok tylko do naśladowania po prostu we wszystkim obcych wzorów, tendencja do tego, by zauważone gdzieindziej formy życia katolickiego uważać a priori za lepsze od naszych; wszak był ktoś, kto dostrzegłszy różnice pomiędzy katolicyzmem naszym a angielskim — gotów był się odważnie zastanawiać, „czy jesteśmy naprawdę katolikami?” Jest w tym wiele zapału właściwego neofitom w pracy na niwie kościelnej. i naturalnej u nich skłonności do sądzenia, że to, co było przed nimi. nie jest ważne, że od nich zaczynają się dzieje, albo conajmniej nowy ich rozdział; jest może jeszcze więcej zwykłego nieuświadomienia w sprawach kościelnych i przekonania, że znajomość jednego lub paru dzieł któregoś z nowszych teologów zagranicznych daje podstawę do sądzenia — nieraz dość zdecydowanego w formie — o wszystkich naszych sprawach kościelnych.

Właśnie nieznajomość Kościoła polskiego jest u nas zwykłą rzeczą. Czyż warto powtarzać, jak mało wiemy o naszym własnym wysiłku misyjnym w XIX wieku, na bezmiarach Moskwy, i jak gotowi jesteśmy bić się w piersi, za pokolenie naszych ojców. zapominając o Beyzymach i Zaleskich, że oni tak mało zrobili dla nawrócenia Indian i murzynów. Zapatrzeni w sukcesy unijne francuskie na bliskim wschodzie, zapominamy o gigantycznym dziele Unii Brzeskiej, i o krwi polskiej, hojnie przelewanej w jej obronie; zasłuchani w romans wypraw krzyżowych, zapominamy o krzyżowym charakterze wszystkich naszych wojen, nie tylko wiedeńskiej, ale i innych, nie wyłączając ostatniej. Patrząc na wysokie wykształcenie kleru francuskiego i organizacyjne zdolności księży niemieckich — zapominamy, że musiał przecie mieć jakieś wartości nasz „nieokrzesany wiejski kler”, który w takich warunkach potrafił utrzymać cały naród przy wierze i dał tylu męczenników.

Dostrzegamy wszyscy głębokie połączenie naszego katolicyzmu z naszym poczuciem narodowym. Nie wiem jednak czy wielu z nas zdaje sobie sprawę z istotnej więzi jaka istnieje pomiędzy tym faktem, który rozmaicie może być oceniony — a najcenniejszą, zdaje się, cechą właściwą naszego katolicyzmu. Cechą tą jest, moim zdaniem, nacisk, jaki katolicy polscy kładą na wskazania etyczne Kościoła w dziedzinie życia publicznego, nie tylko prywatnego. Nie wielu sobie zdaje sprawę, że w okresie, gdy prawie wszyscy katolicy zrezygnowali z walki z tezą, że „religia jest sprawą prywatną” — że polityka leży poza obrębem spraw moralnych, nieledwie poza granicą dobra i zła — katolicyzm polski nie przestał walczyć o stosowanie zasad Chrystusowych w życiu społecznym, państwowym i międzynarodowym. — Jest to istotną i niezmiernie cenną nutą polskiego katolicyzmu w chórze Powszechnego Kościoła. Jest to w znacznym stopniu wynikiem faktycznego połączenia spraw Kościoła ze sprawą Rzeczypospolitej, połączenia niezależnego nawet od naszej woli, wynikającego z naszej pozycji na kresach chrześcijaństwa i z faktu, że zasięg Kościoła katolickiego rozszerza się i kurczy równocześnie z granicami Polski.

Widzimy natomiast dobrze cienie, otaczające ten blask — w postaci przeceniania spraw naszego języka i folkloru w życiu kościelnym. Słychać też często o balaście „narodowym” w naszych pojęciach religijnych. I niemałą popularnością cieszy się u nas hasło szukania „katolicyzmu czystego”, wolnego od wszelkiego zabarwienia narodowego. Spytać jeszcze trzeba, czy taki katolicyzm wogóle istnieje? Wielu naszych inteligentów spotka go we Francji. Już sama pustka francuskich kościołów powinnaby zmusić do skontrolowania trafności francuskich metod duszpasterskich. Jednakże sięga się u nas do Francji nie tyle po metody duszpasterskie, co po specyficzną cechę, posiadaną przez katolików francuskich — cechę „szerokiego zrozumienia” dla Rosji, i „objektywizmu” w stosunku do komunizmu w jego różnych formach. Nie można nie wskazać na błąd tkwiący w tym kierunku myśli. Jeżeli katolicyzm nasz, katolicyzm narodu, który od wieków walczy z nawałą od wschodu, jest na skutek tej walki specyficznie zabarwiony — to i katolicyzm francuski od pewnego, innego zabarwienia nie jest wolny; wszak alians francusko-rosyjski, mający bronić Francję przed Niemcami, nie pozostał bez wpływu na myśl katolicką francuską: wszak obecnie nadzieja, że „objektywny” a nawet przyjazny stosunek do Sowietów potrafi Francję uchronić od dodatkowych klęsk w razie najazdu bolszewickiego — też na myśli katolików fancuskich ciąży. Umyślnie używam cudzysłowów, by wskazać, że wcale nie sądzę, by to„ szerokie zrozumienie”, ten „objektywizm”, prowadziły do prawdziwszej, niż nasza, oceny naszego wschodniego sąsiada; nie myślę, by mogły one zastąpić Francuzom ogromną sumę wiedzy o Rosji, zdobytej doświaczeniem, i jakim doświadczeniem, przez naród. Nie myślę, by nas zaślepiała nienawiść, której wielu z nas nie odczuwa, nad którą wielu umie się wznieść.

Tendencja do uwolnienia naszego katolicyzmu od „narodowego balastu”, do upodobania do katolicyzmu innych krajów, może nam przynieść nieobliczalne szkody. Nie mówię już o tym, że może stąd wyniknąć ułatwienie asymilacji, „obrócenie się w naród inny”. Nie możemy obliczać szkód, jakie mogą wyniknąć z braku naszych danych w ocenie tego, czym jest obecnie Moskwa. Tendencja asymilacyjna może przynieść nieobliczalne szkody Kościołowi Powszechnemu, pozbawiając Kościół tego, co do wspólnej skarbnicy wnosi, wniesie, wnieść może katolicyzm polski.

Stąd dla nas wskazanie: zostajmy katolikami, najwierniejszymi synami Kościoła; ale nie przestajmy, nawet w Kościele, być Polakami. W ten sposób Kościoła nie zubożymy — lecz przeciwnie w chórze głosów chwalących Pana, utrzymamy jeszcze i nasz głos, ten głos, który dotąd nigdy nie zmącił harmonii Jednego, Świętego Apostolskiego, Katolickiego Kościoła.

X. Walerian Meysztowicz

„MANNIN-ZUKA”

Swego czasu światową prasę katolicką i nie tylko katolicką obiegł poruszający do głębi opis niszczącej katastrofy, jaka w postaci bomby atomowej spotkała Nagasaki. W wyniku tej straszliwej zbrodni m.i. padła ofiarą połowa ludności katolickiej tego miasta o najstarszych w Japonii tradycjach chrześcijańskich, pełnych, jak wiemy, męczeństwa. Autorem opisu był katolik, słynny uczony japoński, profesor uniwersytetu, radiolog i badacz atomowy dr. Paweł Tokasi Nagai. Wrażenie potęguje się przez to, że katastrofa została pokazana na tle spokojnego, czystego, cichego życia rodziny chrześcijańskiej, życia w duchu miłości i wyrzeczenia wprost niepojętego dla nas, przeciętnych i letnich katolików Zachodu.

Na skutek długoletnich badań nad problemem atomów, profesor Nagai, dotknięty zabójczymi promieniami, rozpoznał u siebie chorobę śmiertelną. Będąc przekonany, że dni jego są policzone, zwierzył się ze swego stanu żonie, która z heroizmem, nie okazując mu nawet znaku lęku czy przerażenia, spokojnie omówiła z mężem sprawę niedalekiej przyszłości, zabezpieczenie losu swego i dzieci oraz pogrzebu męża.

Wybuchła wojna. Zdrowie uczonego pogarsza się coraz bardziej. Było z nim tak źle, że któregoś dnia pani Nagai na plecach zaniosła męża do laboratorium uniwersyteckiego. Wreszcie dzień katastrofy. Profesor został ranny, mimo to niósł pomoc innym, aż do omdlenia z upływu krwi. Będąc prawie pewnym, że żonę spotkało nieszczęście, dopiero po dłuższym czasie mógł udać się do „domu”.

Domu już nie zastał. „Zamiast domu ujrzałem kupę popiołu. Spojrzałem na całe smutne rumowisko: tam, gdzie była kuchnia, dostrzegłem czarną bryłę — zwęglone zwłoki mej żony. Obok niej leżał różaniec, to znaczy krzyżyk i sczerniały łańcuszek. Zgarnąłem popioły do zwęglonego wiadra. Były jeszcze ciepłe. Objęłem wiadro ramieniem i przycisnąłem je do piersi. Tak zaniosłem zwłoki mojej żony do grobu. Wszyscy mieszkańcy tej okolicy padli ofiarą bomby. Ich zwęglone zwłoki leżały na spopielonych rumowiskach, które czerwieniły się w promieniach zachodzącego słońca. — Czyśmy się nie umówili, że ona miała zająć się moimi zwłokami na łożu śmiertelnym? Ale któż zna losy człowieka? Potknąłem się lekko: z wiadra wydobył się szmer popiołów. W moich uszach szmer zamienił się we wzruszający głos mojej żony: „Przebacz mi, najdroższy”!...

Dr. Nagai jest dziś zupełnym kaleką; dotknięty dodatkowo promieniowaniem wybuchu, cierpi straszliwie. Dolną połowę ciała ma zniekształconą, chorobliwie rozdętą, gdy górna wyschła na szczapę. W dalszym ciągu jednak przeprowadza badania na sobie i innych, aby rozpoznać skutki choroby ‚atomowej’ i znaleźć środki leczenia. I wyniki badań ogłasza w książkach, które należą dziś do najpoczytniejszych w Japonii. A że pisane są przez prawdziwego apostoła, ich wpływ chrystianizacyjny jest olbrzymi i obejmuje wszystkie warstwy, aż do bonzów buddyjskich.

Nuncjusz papieski na uroczystościach ku czci św. Franciszka Ksawerego w Japonii kard. Gilroy zastał uczonego leżącego w nędznym baraku, za barykadą skrzyń. W taki sposób dr. Nagai musiał się „odgrodzić” od swych dzieci, które bardzo kocha: aby mieć się na baczności przed objawami ich miłości. Najmniejszy wstrząs bowiem oznaczałby wewnętrzny wylew krwi. Z tego to legowiska nędzarza, spod pióra tego cierpiącego człowieka wychodzą najbardziej dziś czytane w Japonii książki nie tylko przynoszące wyniki badań naukowych ale słowa pociechy dla innych i wiarę w konieczność ofiar, które dr Nagai tłumaczy jako potrzebne dla przebudzenia Japonii i skierowania jej na drogę odrodzenia przez chrześcijaństwo. Wszystkie dochody z książek płyną na najuboższych jego ojczyzny, którą tak bardzo kocha.

Po wojnie profesor kazał wznieść pomnik ofiarom bomby atomowej; znany pod nazwą „Mannin-zuka”: ‚grób niezliczonych zmarłych’, a na szczycie umieścił skromniutką, gipsową figurę Madonny. Wkrótce „grób” stał się celem pielgrzymek, miejscem świętym modłów chrześcijańskich i niechrześcijańskich. Ponieważ statua wymagała ciągłych napraw, psuła się bowiem od deszczu, dr. Nagai pragnął zastąpić ją marmurowym posągiem, który by pochodził z Rzymu.

Jakby w odpowiedzi katolicy lekarze Włoch ufundowali piękną statuę marmurową Matki Boskiej Królowej Pokoju dla swego bohaterskiego japońskiego kolegi. Statuę w dniu 23 grudnia u.r. poświęcił osobiście Ojciec św. Pius XII.

jt

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

ODPOWIEDŹ OJCA ŚW.

W odpowiedzi na życzenia świąteczne i noworoczne, przesłane Ojcu św. przez Prezydenta Rzeczypospolitej, p. Augusta Zaleskiego, Watykan nadesłał odpowiedź następującą:

„Przyjmując życzenia i wyrazy synowskiego oddania, które Wasza Ekscelencja przesyła z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, wyrażamy z Naszej strony Nasze ojcowskie życzenia zarówno dla Waszej Ekscelencji osobiście jak i dla wszystkich, których uczuć był Pan wyrazicielem i dla których z całego serca upraszamy o obfitość łask błogosławieństwa Bożego.”

Pius XII Papież

SZTUKA O TEMACIE KATOLICKIM W TOKIO

W teatrze cesarskim, jednym z najpiękniejszych w Tokio, wystawiono sztukę o czasach męczeńskich katolicyzmu w Japonii. Treść jest bardzo prosta: Malarz katolik kocha córkę bogatego kupca z Nagasaki. Kiedy wychodzi edykt przeciw chrześcijanom, usiłuje uciec na statku portugalskim. Aresztowano go, a ponieważ nie chce się wyrzec wiary, po torturach zostaje ukrzyżowany. Egzekucji przyglądają się tłumy ze wzgórza przy Nagasaki (nawiasem mówiąc tego samego, na którym O. Kolbe założył swój japoński Niepokalanów), a wśród widzów znajduje się jego narzeczona. Po jego śmierci, dziewczyna przygotowując się do chrztu, otrzymuje wezwanie do złożenia ofiary w świątyni pogańskiej, a do obowiązku należy znieważenie wyobrażenia Chrystusa lub Matki Bożej. W obrazie, który ma sprofanować, rozpoznaje dzieło swego narzeczonego; natychmiast więc oświadcza gotowość poniesienia męczeństwa.

Temat został potraktowany z całą wspaniałością Kabuki: olśniewające kostiumy, tańce, orkiestry. Krytycy wielkich dzienników japońskich rozpisują się o imponującej wystawie i napięciu akcji, lecz głębia problemu i postawy religijnej nie wielkie znalazła echo w recenzjach. Publiczność jednak zapełnia teatr i — jak z pewnego rodzaju humorem komentuje agencja Fides — ten sukces świadczy, że jednak idea chrześcijańska „idzie” i przynajmniej z punktu widzenia komercjalnego temat katolicki „robi kasę”.

ŚMIERĆ DZIEKANA ŚW. KOLEGIUM

Umarł dnia 13 stycznia Dziekan św. Kolegium i Wikariusz Jego Świętobliwości na Miasto Rzym i jego okolice, Kardynał Franciszek Marchetti - Selvaggiani. Zmarły, jako Dziekan Kolegium Kardynalskiego, był Biskupem podmiejskiej diecezji Ostii. Wybitny prawnik, dyplomata i administrator, Kardynał Marchetti - Selvaggniai był już od kilku lat sparaliżowany i nie brał wobec tego udziału w publicznych ceremoniach papieskich. Stojąc na czele ważnej Kongregacji Św. Oficjum, pracował mimo to z dużą energią i siłą ducha i bywał stale przyjmowany w swoje dni przez Ojca Świętego, który darzył go zaufaniem i przyjaźnią. Pogrzeb Kardynała odbył się w dniu 16 ub.m. w kościele św. Ignacego i zamienił się w wielką manifestację Rzymian na cześć zmarłego Wikariusza Ojca św.

Następcą zmarłego Dziekana Św. Kolegium zostaje automatycznie Kardynał Eugeniusz Tisserant, sekretarz Kongregacji Wschodniej.

NOMINACJE

Nominacje nowych Kardynałów — mimo zgonu Kard. Marchetti-Selvaggiani, — dalej każą na siebie czekać. W tej chwili św. Kolegium na 70 liczy 51 Kardynałów. Tymczasem Papież mianował nowych członków swego Dworu na miejsca osierocone w ciągu ostatniego roku.

Najważniejszą jest nominacja nowego „Maestro del Sacro Palazzo”, oficjalnego przybocznego teologa Papieża: zajmował to miejsce zmarły w ub. roku O. Cordovani, OP., autor b. wyraźnych pism antybolszewickich i antymasońskich. Na jego miejsce przychodzi O. Browne, również Dominikanin (jak wiadomo stanowisko to jest zwyczajowo zarezerwowane Zakonowi Kaznodziejskiemu). O. Browne jest Irlandczykiem, dobrze znanym w Rzymie, gdzie przez wiele lat był Rektorem Uniwersytetu Dominikańskiego „Angelicum”.

Wysokie dworskie stanowisko „Sakrysty” tradycyjnie związane z zakonem Augustianów i z tytularnym biskupstwem Porfireone oraz z urzędem Ordynariusza dla Miasta Watykańskiego, wakujące po zgonie biskupa De Romanis, otrzymał Belg, O. Kanizjusz van Lierde.

Na stanowisko Jałmużnika Papieskiego został mianowany ks. Diego Venini, jeden z pięciu duchownych Szambelanów czynnych, z równoczesną nominacją na biskupa Adany.

Wysokie i bardzo odpowiedzialne stanowisko Maestro di Camera, stale zajęte przez sparaliżowanego ks. Mella di Sant'Elia, zostało wsparte nominacją na stanowisko „pro-Maestro” innego Szambelana czynnego, ks. Callori di Vignale, który w ciągu całego Roku Jubileuszowego z wielkim nakładem pracy sprawował tę funkcję, organizując wszystkie audiencje papieskie.

Właściwie już nie do Dworu, lecz do Kurii należy stanowisko Komisarza Św. Oficjum: objął je, po zgonie O. Jana Lottini, nieledwie automatycznie O. Bigarri, OP., dotychczasowy wice-Komisarz, na którego miejsce awansował jego pomocnik O. Castellano.

FRESKI POLSKIEGO ARTYSTY

Znakomity rzeźbiarz i malarz polski O. Efrem Maria z Kcyni, z Zakonu OO. Kapucynów, przebywający od czasów wojny światowej w Hiszpanii, ukończył malowanie przepięknych fresków w dolnym kościele tego zakonu w Barcelonie. Freski przedstawiają sceny z życia św. Franciszka z Asyżu. Malowane są specjalną techniką. W tymże kościele znajdują się rzeźby dłuta O. Efrema. — O Efrem, na którego cześć w Polsce niepodległej wybity został medal pamiątkowy, — jest prócz innych dzieł, także autorem i twórcą pomnika Kard. Mercier w Belgii, jak i nagrobka Kardynała Dalbora, Prymasa Polski. — O. Efrem pozostawał w przyjaźni ze s.p. Ks. Prymasem Hlondem.

JERZY ZDZIECHOWSKI

POLAK OSTRZEGAŁ ZACHÓD

TYLKO mistrz słowa i człowiek, który wielkich rzeczy dokonał, mógł dać w jednym zdaniu tak znakomite określenie polityki zdolnej do wielkich osiągnięć. ,,Musi nią kierować — napisał Roman Dmowski — myśl głęboka, patrząca w życie, umiejąca zdać sobie sprawę z kierunku jego rozwoju, dość ściśle ocenić działające w tym życiu siły, niezależnie od woli jednostek, a często nawet od zbiorowej woli narodu, umiejąca wreszcie zgrać z tymi siłami własne dążenia.''

Zdaniem Dmowskiego wiek XIX wydał tylko dwóch ludzi, którzy taką politykę potrafili prowadzić, a byli inni Cavour i Bismarck. Na przestrzeni pierwszej połowy obecnego stulecia, której karta dziejów zamknięta została tak niedawno, politykiem tej miary był Roman Dmowski. Bo głęboka jego myśl ,,ruchem wszechpolskim'' przygotowała pod zaborami trzy rozdarte części Polski do zjednoczenia, bo oceniwszy działające w życiu siły wskazał zawczasu narodowi polskiemu, gdy miał stanąć na rozstajnych drogach w 1914 r., kierunek działania, bo z siłami obcymi potrafił zgrać dążenia własnego narodu, stając się twórcą wskrzeszonego państwa polskiego opierającego się o Bałtyk.

Jak dziś w perspektywie już historii wydają się małymi jako politycy ludzie, przed areopagiem których w czasie Konferencji Pokojowej w 1919 roku stanął Dmowski. by bronić interesów Polski. Byli niespornymi zwycięzcami. Niemcy i Rosja powalone zostały. Mogli być władcami świata. Nie było rzeczy, której w przymierzu nie mogliby na świecie dokonać. A jednak przywódcy Zachodu w ciągu 30 lat doprowadzili do zniszczenia wszystkich atutów, które wówczas Zachód posiadał.

Do wizji Focha oparcia granicy francuskiej o Ren nie dorastał ani Clemenceau ani Poincaré. A o kalibrze wizji Lloyd George'a, a nawet ambitnego członka jego gabinetu — Winstona Churchilla, świadczyć może epizod, który Churchill opisał w swych pamiętnikach z pierwszej wojny. Był to wieczór dnia rozejmu. Listopad 1918 r. Zachód oddawał się radości. Lloyd George z Churchillem spożywali we dwójkę obiad. Czoła mieli zachmurzone. ,,Przejęci byliśmy — pisze Churchill — strachem przed przyszłością i pragnieniem dopomożenia pokonanemu przeciwnikowi... Mówiliśmy o niemożności odbudowania bez niego Europy.''

Ta troska owiana sympatią dla Niemiec wywarła swe piętno na stanowisku Lloyd George'a w sprawie Polski i zaciążyła na losach Europy i świata. Wynurzenie Churchilla tłumaczy, dlaczego nie dopuszczono Focha do wejścia do Berlina, wyjaśnia stanowisko W. Brytanii, gdy Hitler Ren przekroczył w 1936 r., rzuca światło na politykę Locarna i układ monachijski, pozwala nam zrozumieć otwarcie furtki w poczdamskim układzie dla rewizji wschodnich granic Niemiec, a ostatnio i plany utworzenia niemieckiej siły zbrojnej.

Może ktoś powie, że był przecież wówczas jeszcze i Wilson. Dmowski, który Wilsonowi w Waszyngtonie tłumaczył strategiczne znaczenie Gdańska dla Polski, usłyszał od niego taką odpowiedź: ,,Ależ Panie Dmowski, kto po tej wojnie będzie dyskutował o strategii? Będziemy przecież mieli Ligę Narodów.'' Dalej i głębiej myśl Prezydenta Stanów Zjednoczonych wówczas nie sięgała.

Jak na tle tej Wielkiej Trójki zarysowywała się na Konferencji Pokojowej postać Dmowskiego? Oddajmy głos bezstronnemu widzowi, amerykańskiemu historykowi, dr E. J. Dillonowi. Amerykanin tło przyciemnia pisząc, że trzem ówczesnym arbitrom brakowało politycznej imaginacji, wiedzy i doświadczenia. ,,Nie można było się spodziewać — pisze on — by mogli oni olśnić ludzi przewyższających ich zaletami mężów stanu, a do takich zaliczyć trzeba było delegatów mniejszych państw, Venizelosa. Dmowskiego i Benesza.'' ,,A jednak — dodaje on — każdemu z nich przypadło w udziale odczuć, że są piątym kołem u wozu Konferencji.''

Z trzech wymienionych polityków Dillon wyróżnia wyraźnie Dmowskiego twierdząc, ,,że on największe zrobił wrażenie na delegatach wielkich mocarstw''. Historyk amerykański przedstawia Dmowskiego jako ,,przekonywującego mówcę przyciskającego przeciwnika argumentacją do muru, któremu nigdy nie zabrakło porównania, przykładu, żywego obrazu czy ciętej odpowiedzi.'' ,,Nieraz — pisze Dr. Dillon — potrafił on przekonać delegatów Wielkich Mocarstw nawet wtedy, gdy skłaniali się do tezy przeciwnej.'' ,,Było to — pisze amerykański historyk, — niepoślednim wyczynem, gdy się zważy, jak wielkie polityczne wpływy rzucone zostały na szalę, by zwalczać postulaty wskrzeszonej Polski.'' Mowę Dmowskiego w sprawie Małopolski wschodniej dr Dillon nazywa arcydziełem (a masterpiece).

Tej przenikliwości umysłu, takiej jaką obdarzony był Dmowski, nie miała ani ekipa Churchill-Roosevelt, ani nie ma nikt z obecnych przywódców mocarstw zachodnich. Churchill, którego siła charakteru i woli wyratowała W. Brytanię, zaciążył najfatalniej swą indywidualnością na losach świata, bo daru dalekiej wizji politycznej nie posiada wcale. Do jakiego stopnia mógł się mylić, świadczy to, co napisał w swych pamiętnikach o morskiej Konferencji Rozbrojeniowej w Waszyngtonie (1922 r.) i o traktacie w Locarno (1926 r.). Znajdujemy tam taką ocenę: ,,Po obu stronach Atlantyku wzniesione zostały dwie piramidy pokoju, mocne i nie do obalenia''. Były one tak mocne, że spoczęła na nich oś Berlin-Tokio. Z piramidy locarneńskiej powstała siła nazizmu, a na piramidzie waszyngtońskiej zbudowana została moc floty japońskiej.

Ile natomiast w pismach Dmowskiego znajdziemy światłych i głębokich myśli oświecających dotąd jeszcze drogę w ciemnych korytarzach ponurej dzisiejszej rzeczywistości. Ostrzegał on Zachód przed 20 laty, ,,że Azja, ta bierna dotychczas połowa ludzkości, zbliża się do odegrania wielkiej w dzisiejszym świecie roli''. Tłumaczył, że siła jej nie polega w zeuropeizowaniu, które dostarczyło jej narzędzi, ,,ale w ustroju psychicznym, moralnym i społecznym stanowiącym przeciwieństwo do europejskiego''. Żadne nerwy europejskie, uprzedzał Dmowski, nie wytrzymają porównania ani z chińskimi ani z japońskimi.

Zapowiedź zmiany układu sił na świecie wskutek bliskiego wystąpienia na arenę światową Chin jest prorocza. ,,Przy postępie upadku Europy — pisze Dmowski — emancypacja Azji jest tylko kwestią czasu i to prawdopodobnie niedługiego. Za emancypacją pójdzie ekspansja i ambicje do przodującej roli w świecie...'' Czy sposób traktowania W. Brytanii przez Pekin lub obelżywe wystąpienie gen. Wu na Zgromadzeniu Narodów nie są już obecnie tych tendencji wyrazem i dowodem?

,,Czynny udział ludów azjatyckich w życiu całego świata będzie największym bodaj przewrotem, jaki dzieje powszechne widziały. Ten zaś przewrót już się rozpoczął.'' Dmowski pisze te słowa w 1930 r. i dodaje: ,,Nie widzimy dotychczas, ażeby myśl europejska brała to poważnie w rachubę. I to może jest najjaskrawszym dowodem upadku tej myśli i jej strasznej płytkości''. Trzeba było Korei, by otworzyć Zachodowi oczy. I jak gdyby wielki myśliciel zgadywał to, co się stać miało po jego śmierci, pisze on: ,,Kto wie, czy przed naszą Europą nie leży dłuższy okres samobójczych niedorzeczności potęgujących klęski, które na nią spadają, okres który nie od dziś już się rozpoczął.'' Dodać tylko możemy: i który się niestety jeszcze nie skończył.

Dmowski w swych pismach podkreśla, że z tą dobą szybkiego postępu narodów azjatyckich idą w parze objawy upadku w łonie naszej cywilizacji. Upatruje je: w głębokich przemianach, jakie zaszły w duszy ludzkiej, w upadku religijnym, moralnym, obyczajowym i umysłowym, w zwulgaryzowaniu umysłowym elity, w zaniku zdolności do samodzielnego wysiłku myśli, w upadku energii i zdolności do pracy. Przewidując starcie Wschodu i Zachodu Dmowski zauważa, iż wynik będzie zależał od tego, jaka będzie po obu stronach liczba, jaka energia, jakie głębsze walory duchowe. Widzimy, że w obliczeniach, które Zachód obecnie dokonywuje, te same odnajdziemy podstawy.

Od sześciu miesięcy świat rozprawia o Korei, bo tam rozpaliła się pożoga wojenna. Dopiero od miesiąca na szpaltach gazet pojawia się słowo ,,Mandżuria'', bo wojska gen. MacArthura dotarłszy do mandżurskiej granicy poniosły tam ze strony wojsk chińskich ciężką porażkę. Dotąd dla anglosaskiego świata to, co Pekin gotuje w Mandżurii, pozostaje zagadką, a wypadki jakie nastąpiły, jak wiemy, były wielką niespodzianką. A cóż mówił przed 20-tu laty o tym co się tam stanie Dmowski? ,,Dobrze jest atoli — pisze on — byśmy coś bliższego o Mandżurii wiedzieli, bo ten kraj odegra wkrótce pierwszorzędną rolę w polityce świata. Jest to... źródło wielu konfliktów w niedalekiej przyszłości.''

Czyżby na przykład następująca uwaga nie mogła się przydać p. Achesonowi i gen. MacArthurowi przed kampanią koreańską: ,,Dziś nie można sensownie myśleć o polityce wobec Rosji nie wiedząc o tym, co się dzieje na Dalekim Wschodzie, a zwłaszcza w tym jego silnie dziś podminowanym punkcie, który się nazywa Mandżurią.''

Jeżeli Dmowski przewidywał, że Rosja będzie miała w Chinach najniebezpieczniejszego sąsiada, to fakt, że potrafiła ona jak dotąd z Pekinu zrobić wasala, nie dowodzi, że Dmowski nie miał racji, ale że w historyczno-filozoficznym laboratorium Kremla od dawna podzielano to zdanie i drogą węzłów sojuszniczych zaradzono tymczasem niebezpieczeństwu, które leży w przeciwstawnych interesach.

Tak, jak w carskim laboratorium w Petersburgu postanowiono w pierwszej połowie zeszłego stulecia poprzeć prąd, który się zrodził w rosyjskim społeczeństwie, a który nazwano panslawizmem, a poparto go dlatego, bo mógł okazać się przydatnym w posuwaniu się Rosji na zachód, tak również po jego upadku pojawił się w rosyjskiej myśli ostatnich 10-ciu lat zeszłego wieku program azjatyzmu.

Dmowski opisuje nam dwa procesy z tym związane. Tłumaczy nam, jak step azjatycki drogą najazdów zniszczył Wielkie Księstwo Kijowskie i jak ,,azjatyzm'' jako program doprowadził do wchłonięcia stepów przez Moskwę.

Świetne określenie: ,,Tak jak step zjadł Kijów, Rosja wychodząc z Moskwy zjadła step'' — powstaje w oczach naszych obrazem, który tyle nam dzisiaj tłumaczy. Wchłonięcie przez Rosję azjatyckich żywiołów stepowych pociągnęło za sobą doniosłe zmiany w psychice Rosjan i znalazło już swój wyraz w polityce sowieckiej. Zachód na pewno tego dotąd nie zrozumiał. Dmowski to wszystko przeczuwał. W wchłonięciu przez Rosję żywiołów stepowych widział bodaj główny czynnik oryginalności psychicznej Rosjan, która odcina ich od wszystkich innych narodów. Ten czynnik, jego zdaniem, nie tylko tłumaczy szeroką naturę rosyjską, ale da Rosji w polityce większą śmiałość i ruchliwość, stanie się pierwszorzędnym czynnikiem ekspansji, a jednocześnie wzmocnił w duszy rosyjskiej instynkty niszczycielskie.

Już Dmowski przed 20-tu laty zwrócił uwagę, że oparte na studiach publikacje rosyjskie o krajach azjatyckich przewyższają objętością swoją wszystko, co zrobiono po wojnie światowej poza granicami Rosji. Jeżeli w tym grać mogła dużą rolę nadzieja na zbolszewizowanie Azji, to ,,większe o wiele znaczenie — pisze Dmowski — miał plan podcięcia potęgi zachodnich państw kapitalistycznych przez zniszczenie ich handlu a także ich politycznego panowania w Azji i w ogóle w koloniach.''

Wśród rozważań gospodarczych znajdujemy w dziełach Dmowskiego szereg przenikliwych uwag. Czyż ta pierwsza nie wydaje się proroczą?: ,,Zdaje mi się, że przemysł, który buduje dziś Rosja, groźny jest głównie swoją rolą, jaką odegra w Azji''. A ta druga, pełna sarkazmu, a tak przy tym dzisiaj aktualna, gdy uprzytomnimy sobie, że rosyjskie samoloty odrzutowe latają z motorami Rolls-Royce'a i że W. Brytania wysyłała do Rosji najbardziej skomplikowane obrabiarki i generatory elektryczne jeszcze we wrześniu 1950 r.: ,,handel europejski i amerykański ma to do siebie, zauważa Dmowski, że lubi korzystać z polityki, ale nie lubi pomagać polityce.'' Ile dzisiejszych niedorzeczności tłumaczy taki doskonały aforyzm: ,,czym maszyna mądrzejsza, tym człowiek głupszy''.

Twierdząc i powtarzając, że żyjemy i nie wiadomo, jak długo będziemy żyli w okresie postępującego upadku Europy, Dmowski tłumaczył powody tego upadku: ,,Cywalizację europejską stworzył Rzym i Chrystianizm. I od jednego i od drugiego odbiegła ona na ogromną odległość. Życie jej uległo zbyt silnemu wpływowi — czynników sprzecznych z jednym i drugim. To odebrało jej duszę, która umiała przeciwstawić się całej reszcie świata. Może to nie jest — konkluduje Dmowski — upadek definitywny, może głębokie zmiany, jakie będą musiały zajść na skutek tego, co się dzieje, odrodzą jej ducha, podniosą ją moralnie i przywrócą potęgę jej myśli.''

Od odpowiedzi, którą da najbliższa przyszłość na pytania w tym zawarte, zależą dziś losy świata.

Potęgą umysłu Dmowski dostrzegł niebezpieczeństwa, zagrażające cywilizacji zachodniej, 10 lat przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Jerzy Zdziechowski

LAUREACI NOBLA
O WOJNIE I POKOJU

W Sztokholmie odbyła się uroczystość dla uczczenia pięćdziesiątej rocznicy powstania fundacji Nobla. W uroczystym bankiecie wzięli udział zarówno zeszłoroczni jak i dawniejsi laureaci Nobla w ogólnej liczbie 34, a nadto 900 zaproszonych gości. Na bankiecie tym przemawiał m. in. nagrodzony w ub. r. powieściopisarz amerykański William Faulkner, wypowiadając znane już czytelnikom ŻYCIA słowa: ,,Istnieje dziś tylko jedno zagadnienie: kiedy zostanę wysadzony w powietrze?''

Nawiązując do tego przedstawiciel tygodnika ,,Picture Post'' przeprowadził wśród laureatów Nobla ankietę, co myślą o możliwości Trzeciej Wojny Światowej.

Odpowiedź 78-letniego Bertranda Russella dowodzi, że istotnie przeszedł on ostatnio ewolucję poglądów. Do niedawna Russell głosił konieczność zmuszenia Rosji do zgody na kontrolę produkcji atomowej oraz konieczność ustanowienia rządu światowego, który by kontrolę taką wymuszał i przeprowadzał. Obecnie, wedle rewelacji przedstawiciela ,,Picture Post'', Russell wyraził się, że ,,uwaga nasza musi być przede wszystkim poświęcona pilnowaniu, byśmy nie zostali uwikłani w wojnę przez histerię amerykańską''.

,,Istnieją różnorodne przyczyny — mówił Russell —, dla których gotów byłbym pójść na wojnę z Rosją, nie jestem jednak gotów uczynić tego dla Czian-Kaj-Szeka... Istnieją pełne możliwości pokojowego rozwiązania obecnej sytuacji na zasadzie współistnienia dwóch światów — tak jak dawniej był świat chrześcijański i mahometański. Możemy mieć takie dwa światy obok siebie przez czas nieograniczony... Europa Zachodnia, a w szczególności Wielka Brytania, mają do spełnienia w obecnym okresie ogromną rolę. Musimy i możemy trzymać w karbach Amerykę poprzez UNO. Będą oni zawsze chcieli zachować swe moralne oblicze (ostatecznie przecież są oni potomkami ,,Pilgrim Fathers'').. Jeśli jednak Rosja zaatakuje Zachód, będę za wojną. Rzecz jasna, że będę. Gdybyśmy pozwolili na to, by Rosja nas opanowała, byłby to koniec cywilizacji zachodniej. Mielibyśmy wszystkie złe skutki wojny — bez wojny. Natomiast, jeśli stawimy opór, Europa Zachodnia będzie oczywiście zniszczona, ale przynajmniej ocaleje zewnętrzny obręb cywilizacji w takich częściach świata jak Ameryka czy Australia. I choć Ameryka ulegnie moralnej degradacji przez proces wygrywania wojny, podniesie się ona z tego...

,,Naszym obecnym zadaniem jest jednak uważać, by Amerykanie nie wpędzili siebie samych lub nikogo innego w wojnę z jakiegoś histerycznego powodu. W obecnych warunkach musimy znaleźć rozwiązanie pokojowe i utrzymać Amerykę w ryzach przy pomocy UNO''.

Jak widać, zagadnienie energii atomowej, które dawniej wybijało się na plan pierwszy w rozumowaniach Russella, tym razem nie zostało nawet przez niego wspomniane.

Kilku innych uczonych, jak Belg prof. Heymans. Niemiec Otto Hahn oraz fizyk brytyjski prof. Cecil Powell, laureat nagrody Nobla w r. 1950, wypowiedziało się również zdecydowanie przeciw wojnie. Inaczej nieco brzmią sformułowania dwóch uczonych amerykańskich, którzy zadeklarowali się stanowczo przeciw dalszym kompromisom ze światem komunistycznym. Tak więc neurolog prof. H. S. Gasser, kierownik Instytutu Rockefellera w Nowym Jorku i laureat nagrody medycznej Nobla w r. 1944, oświadczył:

,,Ideały zachodnie godne są ocalenia i muszą być ocalone... Nie wiem, czy grozi nam niebezpieczeństwo zatracenia ich przez rzucenie bomb atomowych, — po prostu nie wiem''.

Inny Amerykanin, dr Philip Hench z Mayo Clinic w Stanach Zjednoczonych, laureat nagrody medycznej Nobla w r. 1950, wyraził się m. in. następująco:

,,Co się stanie z mym 19-letnim chłopcem — oto co mnie najbardziej obchodzi. A przecież nie możemy robić kompromisu dla potrzeby doraźnej, nie możemy iść na ,,appeasement'', taki, jakiego obawiamy się ze strony pana takiego a takiego, waszego premiera. Jestem zdecydowanym antykomunistą i trzeba im stawić czoło''.

MARIA WINOWSKA

DROGA*)

Dokończenie fragmentu powieści

Tymczasem z zakrystii na lewo wyszedł dziwny korowód: chłopięta w białych komeżkach, zaczynając od siedmioletnich chłopców. Szli parami, ale dość swobodnie, zerkając co chwila na kościół. Wzmogły się szepty wśród tłumu: „Mira, mira nena, wołał jakiś głos kobiecy, aquest es Jordi, Jordi"1). Jeden z malców uśmiechnął się radośnie, jakby kogoś poznał. Zniknęli wszyscy za ołtarzem. Piotr stwierdził ze zdziwieniem, że nikt ich nie prowadził ani nie przestrzegał porządku.

Z kolei wyszedł bardzo młody ksiądz, z asystą trochę większych chłopców. Stanął przed ołtarzem, przeżegnał się — i nagle z absydy rozległ się śpiew. „Germinans germinavit... zrozumiał Piotr, ale dalszego wątku nie umiał pochwycić. Nieskazitelna linia gregoriańskiej melodii biła w niebo, jak srebrzysty pióropusz fontanny, opadała sperlonym wachlarzem, falowała rytmem oddechu i rozdygotanego serca. Głosy chłopiąt były przedziwnie czyste i zgrane. Piotr zrozumiał nagle, że chwalba musi śpiewać. Chadzał czasami w Warszawie na msze gregoriańskie, lecz nie znosił twardego staccato, które przeobrażało najpłynniejsze kyrie w skocznego oberka. Wprawdzie zacny ksiądz Nowacki próbował go wtajemniczyć w arkana najstarszej muzyki kościelnej, ale Piotr uparcie twierdził, że to było dobre na dawne czasy, gdy nie znano przepychu polifonii. Kochał się w Palestrinie i w Bachu. Uważał muzykę za sztukę najzupełniej samodzielną. I oto teraz przeszyło go olśnienie, że pieśń jest koniecznym przedłużeniem słowa, zaślubiając jego treść.

Chłopięcy chór odśpiewał Kyrie i z wielkim rozmachem podchwycił „Gloria". „Przecież nikt nimi nie dyryguje", dziwił się Piotr. Prócz księdza, odprawiającego mszę nie było w prezbiterium nikogo starszego.

Śpiewali pełną piersią i z wielkim zapałem, jakby czekali na tę okazję, by wyładować wezbrane serduszka. Bez śladu pozy: przysłonięci ołtarzem nie widzieli zasłuchanego tłumu, nie zdawali sobie może sprawy z wrażenia, jakie wywierali. „Tu solus Sanctus" wzbił się w niebo jak złota strzała. Zgranej grupce przodowników z miejsca odpowiedział chór: „Tu solus Dominus". Wyżej, coraz wyżej, zawrotnie wysoko, w świetnym porywie, na skrzydłach zachwycenia buchnęła pieśń „żeś sam jeden Pan Najwyższy": „tu *solus* Altissimus". Melodia opadała zwolna, jakby z żalem, oplątając bezgraniczną tkliwością Imię nad imiona: „Jezus Christus", by w Duchu świętym i chwale Ojca rozkwitnąć milczeniem.

„Czyżby te bąki rozumiały, co śpiewają? — myślał Piotr — Był wstrząśnięty do głębi, miał w oczach łzy. Wzbierała fala uczuć, zepchniętych za próg świadomości. Każde z nich miało swoje miejsce i swój sens. Okrutne doświadczenia ostatnich lat zaczęły wchodzić w krąg miłościwego ładu. Coś się w nim łamało i prostowało, coś się rozluźniało i rozsupływało, niewidzialne ręce oliwiły zgrzytające transmisje i kółka, niewidzialny wicher zmiatał nawiewane plewy, aż stało się uciszenie wielkie. Z uczuciem niewysłowionego pokoju słuchał dalszej mszy.

Podczas komunii większość chłopiąt wyszła z za ołtarza, otoczyła go półkolem. Na twarzyczkach malowało się skupienie. Zmówili confiteor w głębokim pokłonie. Wracając klękali w stallach. Piotr wypatrywał napróżno jakiegoś objawu chłopięcej pustoty. I teraz nie pilnował ich nikt..

Z kolei, bardzo długo, komunikował tłum. Zdawało się, że nie brakło nikogo do apelu. Gdy zobaczył obok zupełnie opustoszałe ławki, Piotr poczuł się nagle, sam jeden, jak dezerter. Kiedyż to spowiadał się ostatni raz? Był w Lourdes przed wyprawą, ale nie śmiał. Za dużo, za dużo nagromadziło się od roku. Pomyślał, że chciałby być jednym z tych chłopiąt i zagrzebał twarz w otwartych dłoniach.

Ktoś dotknął jego ramienia. Stał obok, uśmiechnięty, „Trini el fuster".

— Niech pan posłucha teraz — powiedział — zaśpiewają „Salve.

„Mniszęta" klęczały wieńcem wokół ołtarza. Widocznie przed chwilą skończyła się msza. W złotym migocie niezliczonych świec białe komeżki wyglądały jak gołębie, co spłynęły chmarą. Zaśpiewali z przejęciem i dziecięcą tkliwością, zadzierając główki ku wysokiej, złotej wnęce. Zdawało się, że ten chór pacholęcy sprawuje po swojemu świętą wartę wokół ukochanej „Morenety". *Salve Regina...* Tym razem prosta gregoriańska melodia rozrosła się w polifonię o kunsztownej budowie, którą te małe smyki odśpiewały z brawurową zręcznością. „O clemens... O pia..." Rozbiegane akordy zbiegły się w krzyk najczulszego zachwycenia, by opaść ściszającym się półkręgiem tonów, ścielących się u stóp Najśliczniejszej Pani, jak kaskadą srebrnych dzwoneczków: „*o dulcis Virgo Maria...*"

Nikt nie dyrygował nimi, nikt. Nie było w chórze nikogo prócz tej republiki pacholęcej. Zadzierali główki wysoko, jak pisklęta. Pomniejszy drobiazg przebierał nóżkami: z ukontentowania czy niecierpliwości? Widać było, że śpiewają z serdeczną uciechą, pełną piersią. Skończywszy wychodzili grzecznie, parami... Trini patrzył na Piotra wyczekująco:

— No i cóż? Jak się panu podoba?

Ale Piotr był zanadto wzruszony, żeby odpowiedzieć. Zmęczenie, senność, natłok wrażeń wprawiały go w stan półjawy, półsnu, który ze światem realnym miał związek nader wiotki. Działy się z nim jakieś dziwy, odkąd stanął na czarodziejskiej górze. Nie bronił się unoszącej go fali, żył chwilą, tak śliczną, że tulił ją oburącz do wezbranego serca. Stanął czas.

— A teraz pójdziemy do Niej — komenderował „Trini el fuster". — Taki u nas zwyczaj: najpierw „Salve" a potem idziemy pocałować Ją w rękę".

Długi, barwny korowód posuwał się powoli ku schodom, na prawo chóru. Jakiś smukły, młodziutki braciszek hamował zbyt krewkie zapędy niecierpliwych pątników. Na schody wiódł półokrągły portal, okolony przecudną plecionką alabastrowych aniołów. Pyzate, dziecinne buzie zerkały figlarnie spod otoku kamiennych pnączy. Po obu stronach portalu strażowały skrzydlate młodzieniaszki w nowoczesnych szatkach Fra Angelica. Ale tłum, myślał Piotr, nie reaguje zbytnio na artystyczne podniety. Cisną się, jakby im za to płacono. Młodziutki, smukły braciszek był najwidoczniej bezradny. „Poc a poc", wołał, „powoli!" Jakaś gruba jejmość otarła się o Piotra. „Mare de Déu", mruczała, „quina llauna". — Co ona mówi? — zapytał Piotr towarzysza.

— Biedna, uśmiechał się Trini, ktoś jej pewnie na nogę nadepnął. Użaliła się smagłej Madonnie („la Madona bruna"). Gdyby to był Francuz, powiedziałby „merde".

Weszli do dużej sali, pełnej szklanych gablotek. Ze stropu zwisało mnóstwo złotych lamp. Na prawo za stołem siedział zakonnik, zupełnie łysy z okrągłą twarzą i uśmiechem filuternych oczu. Trini zaczął pruć fale w jego kierunku i dobiwszy do biurka, bardzo szybko coś tłumaczył mnąc beret w spracowanych rękach:

— Vous êtes Polonais? zwrócił się mnich do Piotra i twarz jego jeszcze bardziej wykrągliła się w uśmiechu. My tu już mamy jedną Polkę, ale jej dzisiaj nie ma, pojechała do Barcelony. Ona już całkiem dobrze gada po naszemu, a nawet pisze. Malarka. Codziennie przychodzi na jutrznię.

— Jak się nazywa?

— Krystyna. A jak dalej — nie wiem. Nikt nie wie, tylko ojciec Anzelm. Dziwna jest, nie taka jak nasze dziewczęta. Wcale a wcale nie lubi gadać.

W ostatnich słowach brzmiała odrobina żalu. Piotr był zaintrygowany.

— Dawno tu jest?

— Pół roku. Przyszła ot tak, z plecakiem. Mieszka u świętego Józefa. Chodzi po górach i maluje. Jak kto chory, to go leczy. Strasznie lubią ją dzieci. A Pan skąd? Czy na długo?

— Przyszedł z pielgrzymką pokutną — pilnie objaśniał Trini mrugając znacząco na Piotra — Całą noc szedł i śpiący. Zaprosiłem go do siebie, żeby się przespał.

— Jak to dobrze — ucieszył się zakonnik — Dziś nie znalazłbyś „celdy" ani na lekarstwo. Ludzie koczują pod gołym niebem. Dobra z ciebie dusza, Trini. Zaprowadź go do ojca Anzelma!

— A Déu — powiedział Trini

— Déu us guard! A Déu siau!

— To ojciec Placyd, — szepnął Trini wchodząc ponownie w przelewający się zwolna, ludzki nurt. — Dobry, jak kawałek chleba. Tylko dałem Ci znak, żebyś lepiej za dużo o sobie nie mówił. Dużo musi gadać, a nuż mu się coś wypsnie? Ojciec Anzelm co innego. Milczy jak grób.

Szli znowu schodami, coraz węższymi. Trini miał twarz uroczystą.

— Ot i „combril". Zaraz zobaczysz Morenetę.

Wstępowali teraz na balkon, który widać było z dołu, w otoku świateł. Mnożyły się zatory i postoje. Jeszcze jeden zakręt — i stanęli przed wnęką rozjarzoną od matowej czerwieni mnóstwa złotych lamp. We wnęce, na wyblakłym złotym siedzisku siedziała „smagła Madonna" z Dzieciątkiem na kolanach. W prawej dłoni trzymała ni to jabłko, ni glob, drugą pieszczotliwie obejmowała Maleństwo. Piotr omal nie krzyknął ze zdumienia: w ciemnej twarzy „Morenety" rozpoznawał rysy Jasnogórskiej Pani.

Wrażenie było tak nagłe i tak piorunujące, że powaliło go na kolana na przekór płynącej fali. Nikt nikt go nie łajał ani nie popychał. Omijali go jak strumień napotkany ostrów. Widać podobne niespodzianki były w programie. Cisza tu panowała, jak makiem siał. Spokojnie, z namaszczeniem, czynili zadość odwiecznej etykiecie. Każdy po kolei zatrzymywał się chwilę na najwyższym stopniu i całował w rękę Matkę i Dzieciątko. Jeszcze jedno gorące spojrzenie, czasami nagły, stłumiony szept i szli dalej, z nieprzytomnym szczęściem w oczach. Trini stał cierpliwie obok klęczącego Piotra, żeby nie zajmować zbyt wiele miejsca.

Onaż to była, w snycerskim wydaniu. Ciemna, podłużna, tajemnicza twarz. Usta foremne, malutkie, zastygłe w modlitewnym skupieniu, bezgranicznie łaskawe. Dłuto nieznanego artysty tchnęło w rzeźbę tętno tajemniczego życia. A przecież — jakżeż odbiegała od współczesnych kanonów niewieściego piękna! Genialny mistrz potrafił wyczarować samo życie duszy. Prostota hieratycznego stylu uwypuklała tę przeźroczystość. „Malował ją chyba klęcząc" pomyślał Piotr.

Przeszyła go jak strzała bolesna świadomość zupełnej bezradności i dogłębnej nędzy, lecz ból ten przerodził się w radość, gdyż apelował natrętnie do jej praw lecz i obowiązków macierzyńskich. „Pamiętaj, że od wieków nie słyszano..." zaczął w duchu, żarliwie. I dalej modlił się już bez słów.

Poczuł na ramieniu delikatne dotknięcie. — Pere, mówił miękko Trini el fuster, już czas na mnie do warsztatu. Potem skończysz. Chodź teraz ze mną. . .

Gdy schodzili, przepraszał błagalnym wejrzeniem niebieskich oczu. Obeszli półokrągłą absydę, wracali tą samą drogą. Kościół tymczasem opustoszał. Tylko w drugiej kaplicy ,na lewo, rojno było od klęczących ludzi. Piotr przypomniał sobie staruszkę. „Gdzie ona?" — zapytał cicho.

— Nie wiem, może już wyszła. A tu spowiada ojciec Anzelm. Spowiada przez cały dzień i nieraz także nocą. Zawsze tu taki ogonek. Cud, że go nie zabiją. Święty on, sam zobaczysz.

Z półmroku i chłodu wyszli w upał i blask. Słońce raziło tak niemiłosiernie, że bolały oczy, choć godzina była wczesna, zaledwie ósma. Minęli dziedziniec i sklepione wrota. Szli na prawo, trochę pod górę, ku brzydkiej, trzypiętrowej, odrapanej budowli. Trini prowadził, utykając zlekka i wciąż miętosząc w rękach poplamiony beret. Zatrzymał się na trzecim piętrze, przekręcił klucz. Uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem.

— Nie ma u mnie kobiety, pomarła temu pięć lat, więc i nie ma komu uprzątnąć a nie spodziewałem się gości. Ale dom mój jest twoim domem i chcę byś czuł się u siebie.

Nie było tak źle jak zapowiadał. Na oknie, pod oknem stały doniczki z kwiatami. Skromny, zasłany tapczan, stół, dwa krzesła, szafa sklecona naprędce z nieheblowanych desek stanowiły całe umeblowanie. W kącie, na odwróconej skrzyni pełno było garnków i gratów.

— Siadaj, Pere, dam ci śniadanie. Dam ci co mam i zbiegnę po mleko. Ot kiełbasa, ot chleb i ser. Chleba mamy tu o wiele więcej niż na kartki, więc sobie nie żałuj. Chcesz wina? Jest wino. Wolisz niż mleko? Obiad przyniosę ci z naszej kantyny. Na śniadanie też tam chodzę. „Que profiti": smacznego! Czas na mnie. A potem połóż się i śpij.

Stał przed Piotrem, uśmiechnięty, przygarbiony i malutki, widać było że rad by mu nieba przychylić. Miał oczy jak skraweczki błękitu.

— Lepiej ty nie mów nikomu, Pere, ktoś ty jest i skąd. Ludzie mają długi język. Narazie wiemy o tobie tylko ja i senora Maragall. A potem ojciec Anzelm powie nam, co mamy robić.

— Kto jest ta senora Maragall? zapytał pełnymi ustami.

— Prawda, skąd miałbyś wiedzieć? Wdowa po sławnym chirurgu z Barcelony. To długa historia. Jedni mówią, że wariatka, ale ja myślę, że to święta. Miała dwu synów, zginęli obaj. Odtąd jej życie jest nieprzerwaną pokutą. Żebyś ty wiedział! Pustelnicy tak nie żyli. jak ona. Śmieją się z niej, ale ja się nie śmieję...

— A ojca Anzelma kiedy ja zobaczę?

— Ojciec Anzelm przyjmuje tylko w konfesjonale. Adéu siau, Pere! Na ósmą powinienem być już w warsztacie...

Piotr jadł i czuł się niewymownie szczęśliwy. Z placu przed domem dolatywał stłumiony gwar. Dzień zapowiadał się duszny i skwarny. Piotr przymknął okiennice, legł jak długi na tapczanie i usnął momentalnie twardym snem.

Maria Winowska

*) *Por. ŻYCIE Nr. 2 (186) i Nr. 4 (188).*

(1 *Patrz, patrz, dziecko, ten tam to Jerzyk!*

WOLNOŚĆ INTELEKTUALNA?

Pod tytułem „*Intellectual Freedom*" „*Times Literary Supplement*" z d. 12 stycznia zamieszcza krótki artykuł redakcyjny, w którym omawia sprawę pomocy dla pisarzy wygnańców, przebywających dziś w krajach Zachodu.

Pismo przypomina, że w Nowym Jorku powstał niedawno „Fundusz Wolności Intelektualnej" („*Found for Intellectual Freedom*"), którego twórcami są Graham Greene, Arthur Koestler, John Dos Passos, James Farrell i Aldous Huxley. Zadaniem tej instytucji nie jest gromadzenie środków pieniężnych drogą jednorazowych donacji, ale stworzenie zespołu pisarzy zobowiązanych do stałego przeznaczania pewnego procentu ich dochodów na pomoc dla pisarzy uchodźców z krajów, znajdujących się pod panowaniem komunistycznym. Przypuszcza się, że tą drogą utrzymać będzie można wydatki biurowe w granicach niezbędnego minimum i stworzyć fundusz, którego zadaniem nie byłoby dawanie wygnańcom okazyjnych datków, ale umożliwienie im powrotu do twórczej pracy w bardziej kongenialnej atmosferze intelektualnej.

„*Times Literary Supplement*" przypomina następnie odezwę Międzynarodowego P. E. N. Clubu, ogłoszoną niedawno w tym piśmie i podpisaną ze strony pisarzy brytyjskich przez Mrs. Storm Jameson, Stephena Spendera i Hermana Oulda, a spośród pisarzy wygnańców przez Marię Kuncewiczową (odezwę tę podawaliśmy niedawno w ŻYCIU w przekładzie polskim). Pismo zaznacza, że chodzi tu o plan „poniekąd podobny" do amerykańskiego i że świat zachodni stoi niewątpliwie przed zagadnieniem, w jaki sposób zapewnić najskuteczniejszą pomoc wygnańcom intelektualistom, — zagadnieniem, które raz już w tym samym pokoleniu stanęło przed Zachodem, kiedy w latach trzydziestych zaczęli tu napływać uchodźcy z krajów „osi".

Następują jednak sformułowania raczej osobliwe:

„Niebezpieczeństwo dla tych pochwały godnych przedsięwzięć — czytamy w zakończeniu artykułu — grozi ze strony samych wygnańców. Jeśli będą oni zdolni wykazać nienaturalną omal wyrozumiałość i ograniczyć się do pisania dzieł sztuki, do działalności naukowej i do krytyki, to pomoc, jaką otrzymają, będzie sowicie zasłużona. Jeśli jednak folgować będą ludzkiemu bardzo pragnieniu odpłacenia się swym dawnym ciemiężcom, dodając po jednej więcej publikacji do tego potoku książek, których reprezentantką jest „*I Chose Freedom*", to wówczas nie tylko zmniejszą się subskrypcje na rzecz tych pisarzy, ale i powstanie istotne niebezpieczeństwo utopienia pożytecznego zadania w tym rodzaju polemik, jakie niestety wyrastają niemal automatycznie, kiedy Wschód i Zachód poczynają opowiadać o sobie nawzajem „intymne" relacje („*inside*" *stories*)."

Jeśli dobrze rozumiemy przytoczone wyżej sformułowanie, doradza ono, by z twórczości pisarzy emigrantów wyłączone były z góry tematy, mogące wywołać niezadowolenie i polemikę ze strony sowieckiej. Gdzież w takim razie podzieje się hasło wolności intelektualnej, wolności tworzenia, figurujące w samym nagłówku streszczonego przez nas artykułu i będące ideowym założeniem obu inicjatyw: amerykańskiej i brytyjskiej? A poza tym czyż rzeczywiście przeżycia pisarzy w krajach pod dyktaturą komunistyczną — przeżycia, sięgające często najgłębszych zagadnień ducha ludzkiego, — nie mogą być przedmiotem prawdziwego dzieła sztuki?

*

UTWORY MAKIAWELA PO ANGIELSKU

Nakładem firmy Routledge and Kegan Paul ukazało się nowe kompletne wydanie rozpraw Makiawela („*The Discourses of Niccolo Machiavelli*") w przekładzie angielskim Fr. Leslie J. Walkera. Tłumacz opatrzył wydanie wstępem, tablicami chronologicznymi i notami. Rzecz wydana jest ozdobnie w serii „*Rare Masterpieces of Philosophy and Science*", w dwóch tomach, i kosztuje pięć gwinei.

*

NAGRODA LITERACKA „WIADOMOŚCI POLSKICH" W STOKHOLMIE

Nagroda literacka za utwór z dziedziny poezji wyznaczona została przez tygodnik „*Wiadomości Polskie*", ukazujący się w Stokholmie, z okazji dziesięciolecia wydawnictwa.

Nagroda wynosi 500 kr. szwedzkich, czyli około 100 dolarów.

Ubiegać się o nagrodę może każdy autor polski, który nadeśle utwór dotychczas nieogłoszony drukiem. Warunki konkursu nie przewidują żadnych ograniczeń co do formy poetyckiej, treści, lub objętości utworów. Może to być zarówno zbiór wierszy, jak i jeden wiersz, zarówno liryka jak utwór dramatyczny lub pieśń.

Ogłoszenie wyniku nastąpi 3 maja 1951 r. — Termin nadsyłania prac mija 31 marca 1951 r.

W Sądzie Konkursowym udział biorą:

Wawrzyniec Czereśniewski, Zbigniew Folejewski, Jan Olechowski, Jerzy Pietrkiewicz, Łukasz Winiarski, Czesław Bednarczyk.

Prace opatrzone godłem, lub pseudonimem, przepisane na maszynie, przesyłać należy listem poleconym p. a.: „*Wiadomości Polskie*", *Riddargatan 25. Stockholm.* Do przesyłki należy dołączyć zapieczętowaną kopertę również zaopatrzoną w godło i zawierającą nazwisko i adres autora.

ROBERT BROOM

PRZEŁOŻYŁ TOMASZ JANIKOWSKI

EWOLUCJA CZŁOWIEKA

Tłumaczem niniejszego szkicu był ś.p. Tomasz Janikowski, uczony polski genetyk, pracujący w Instytucie Genetyki w Edynburgu. W kilka dni po przesłaniu nam tego tłumaczenia prof. Tomasz Janikowski zmarł nagle na serce.

S.p. prof. Janikowski był przyjacielem naszego pisma od początku jego istnienia. Toteż zamieszczając dziś ostatnią zapewne w Jego życiu pracę, pragniemy tym uczcić pamięć uczonego i wielkiej miary człowieka.

Encyklika „Humani generis" porusza m. i. sprawę stosunku wiernych do teorii biologicznych o pochodzeniu człowieka. To też warto może zapoznać się z poglądami czołowego paleontologa brytyjskiego i znanego odkrywcy t. zw. ogniw brakujących między światem zwierzęcym a człowiekiem, d-ra Roberta Brooma. Dokonane przez niego w Afryce Południowej odkrycia antropoidów kopalnych wzbudziły nie tylko wśród specjalistów ale i w szerokich kołach inteligentnego ogółu niezwykłe zainteresowanie.

Większości czytelników ŻYCIA niewątpliwie znana jest powszechnie przez biologów przyjęta teoria e w o l u c j i świata organicznego. Daleko słabsze a często fałszywe wyobrażenie mają ludzie o teorii Darwina, jednej z tych kilku, które próbują wyjaśnić p r z y c z y n y ewolucji. Niektóre jej aspekty poznają czytelnicy z niżej podanych wywodów krytycznych dr. Broom'a, który w sposób właściwy paleontologom, ogarniającym studiami olbrzymie okresy czasu liczone na setki milionów lat, stoi na stanowisku o r t o g e n e z y. Teoria ta przyjmuje, że zmiany gatunków u zwierząt i roślin, a stąd zmiany ewolucyjne odbywają się według pewnych, jakby z góry określonych kierunków, z prawami, których przyczyny są dla nas tajemnicą.

Ciekawi wykopalisk Broom'a mogą znaleźć ich opis w oryginale[1]. Nie poddając krytyce poglądów autora, chociaż nie z wszystkimi można się zgodzić, zamieszczamy tu z pewnymi skrótami tłumaczenie ostatniego rozdziału jego książki. Widać z niego wyraźnie, że chociaż biologia przyjmuje ewolucję jako fakt, zdania na temat jej dróg i przyczyn nie tylko nie są uzgodnione, ale różnią się od siebie zasadniczo.

RED.

CHOCIAŻ możemy powiedzieć z całą pewnością, że człowiek rozwinął się z jakiegoś z ssaków naczelnych (w systematyce ssaków rząd Naczelnych obejmuje lemury, małpy zwykłe, małpy człekokształtne i człowieka. — Przyp. tłum.) Starego Świata i możemy nawet dojść bardzo blisko do przodka, który dał początek linii ludzkiej, nie potrafimy powiedzieć, co wywołało ewolucję.

Darwin będzie żył zawsze jako badacz, który pierwszy przekonał świat myślący, że człowiek rozwinął się z jakiegoś typu małpy o ludzkiej postaci, ale głównej teorii, którą zaproponował, wcale nie przyjęto powszechnie. W „Powstaniu gatunków" dowodził, że ewolucję wywołała Natura, sprzyjając odmianom najbardziej zdatnym do życie. Teorię swoją nazwał „doborem naturalnym" lub „zachowaniem przy życiu ras uprzywilejowanych w walce o byt".

Wielki paleontolog amerykański Cope, pragnąłby się dowiedzieć, jakie było pochodzenie osobnika „najbardziej zdatnego". I to jest aż dotąd nasze kłopotliwe pytanie.

Wiemy, że wśród zwierząt istnieje wielka zmienność. W żadnej wielkiej rodzinie nie ma nawet dwojga osobników zupełnie jednakowych. Było też rzeczą zrozumiałą przyjąć, że najzdatniejszy łatwiej zachowa życie i stworzy odmianę zdatniejszą. Lecz obecnie wiemy, że większość takich odmian powstaje pod wpływem zmiennych warunków klimatu, pożywienia, lub fizycznego stanu matki w czasie początkowego rozwoju, a zmian, które Darwin uważał za dziedziczne, nie dziedziczy się wcale.

Hunt Morgan i inni genetycy wykazali, że pewne zmiany można wywołać działaniem ciepła i elektryczności, radu i promieni Roentgena i że te zmiany są dziedziczne — przynajmniej przez okres kilku pokoleń. I tu okazało się, że przyroda ma coś uchwytnego, co można wybrać i w ten sposób wytworzyć gatunek nowy.

Niewątpliwie piorun jest w przyrodzie zjawiskiem pospolitym, a promienie kosmiczne padają rzęsiście na ziemię bez przerwy; ale nie ma żadnego dowodu, by takie czynniki wytworzyły kiedykolwiek nowy gatunek. Wydaje się faktycznie, że jeśli nawet człowiek wyselekcjonował takie mutacje, trwają one tylko przez kilka pokoleń; potem zwierzęta wracają stopniowo do normy.

Zastanawiając się nad zagadnieniem powstania nowych gatunków, Darwin interesował się wielce nowymi odmianami gołębi, koni, bydła i owiec, jakie powstały w wyniku selekcji i nadzorowanej hodowli typów pożądanych. Owe odmiany różnią się od siebie, jak się okazuje, o wiele bardziej niż liczne gatunki w przyrodzie. A więc koń wyścigowy i ciężki koń roboczy różnią się tak od siebie jak lew i tygrys. Różnica zaś między gołębiami garłaczem i kapucynem wydaje się większa niż między kosem a drozdem. I jeżeli odmiany konia i gołębia powstały przez selekcję człowieka, dlaczego nie mógł powstać lew i tygrys, czy kos i drozd, przez selekcję przyrody?

Wydaje się na pierwszy rzut oka, że człowiek może przez staranną selekcję wytworzyć nowy gatunek; lecz jest to widocznie złudzenie. Jeżeli gospodarz ma piękne stado czystych owiec-merynosów i zadawala się hodowlą wsobną, zobaczy po kilku latach, że jego stado jest, jako merynosy, niemal nic niewarte.. Musi zawsze wprowadzać nowe dobrane tryki.

Selekcja ludzka wytwarza tylko coś, co można by nazwać gatunkami patologicznymi, które zostawione przyrodzie ulegają eliminacji przez dobór naturalny. Prawdopodobnie nigdy by nie potrafiły utrzymać się przy życiu w konkurencji z gatunkami normalnymi.

Chociaż Darwin przez całą końcową część życia uważał dobór naturalny za główny czynnik ewolucji, często — jak się okazuje — miał poważne na ten temat wątpliwości. W 1871 napisał „Pochodzenie człowieka", z którego widać, że już nie wierzy w dobór naturalny jako przyczynę wielu cech ludzkich. Pisze: „Te różnice w cechach między rasami człowieka nie dadzą się w sposób zadawalający przypisać bezpośredniemu działaniu warunków życia, ani wynikom ciągłego używania części, ani zasadzie korelacji... Na ile możemy sądzić (choć zawsze możliwy jest błąd na ten temat) ani jedna różnica zewnętrzna między rasami człowieka nie stanowi dla niego żadnej bezpośredniej ani specjalnej korzyści."

Zgadza się więc widocznie, że liczne cechy ludzkie nie mogły powstać przez dobór naturalny i proponuje nową teorię, mianowicie dobór płciowy, „który, jak się zdaje, działa tak samo potężnie na człowieka jak na wiele innych zwierząt."

Teoria jest zawsze niezadawalająca, jeśli wyjaśnia jakoby pewne fakty ewolucji, a nie wyjaśnia innych. Darwin zaś znalazł się w kłopotliwym położeniu stawiając dwie teorie, a nawet trzecią. Jeżeli cecha ma oczywistą korzyść dla zwierzęcia, jak kły i pazury tygrysa, to oczywiście powstała przez dobór naturalny. Jeżeli cecha, taka jak ogon pawia, jest oczywistą przeszkodą, to powstała przez dobór płciowy. A jeżeli cecha nie jest ani korzystna ani szkodliwa, jak utrata zdolności latania u dodo, możemy zawsze uciec się do lamarkizmu (teorii Lamarcka, według której osobnik wytwarza w sobie nowe cechy w zetknięciu z otoczeniem i przekazuje je potomstwu; — przyp. tłum.). Wywołuje to poczucie, że żadna z tych teorii nie jest prawdziwa.

Bergson zaproponował teorię zupełnie innej natury. Mianowicie, że ewolucja występuje, bo musi występować; tak jak jaje wysiadywane musi zamienić się w kurczę. Uważa, że istnieje pewna siła czy też czynnik w przyrodzie — nazywa ją élan vital — która zmusza większość typów zwierzęcych do rozwoju w typy wyższe. W ewolucji konia z małego czteropalcowego Eohippus, który żył lat temu 40.000.000, do dużego jednopalcowego konia dzisiejszego mamy, jak widać, prawie stałe następstwo form stopniowo coraz się zwiększających i z coraz bardziej skomplikowanymi zębami żującymi. W opinii wielu paleontologów ta stała ewolucja nie da się wytłumaczyć przez dobór naturalny, ani przez lamarkizm i z pewnością nie przez dobór płciowy. I wydaje się jakby jakiś czynnik popychał ewolucję do określonego końca.

Całe zagadnienie, jakie przyczyny ma ewolucja, jest bardzo trudne, i nikt chyba nie spodziewa się dłuższej dyskusji na ten temat w książeczce o przodkach człowieka. Tak się składa nieszczęśliwie, że dogmatyzm i przesąd nie ograniczają się do organizacji religijnych. Zaledwie kilka lat temu pewien nauczyciel w Ameryce miał dochodzenie za dyskutowanie ewolucji w szkole, jeden zaś z największych mężów stanu grał w dochodzeniu główną rolę. A dziś w niektórych kołach teoria Darwina o doborze naturalnym jest takim dogmatem, że wątpić w jej prawdę jest prawie tak samo niebezpiecznie dla czyjejś reputacji, jak wątpić w naukę o Trójcy św. Czynniki czy przyczyny ewolucji dyskutuje się bardzo rzadko na zebraniach naukowych; większość uczonych uważa za rzecz najrozsądniejszą zachowywać swoje poglądy dla siebie.

Pewien wybitny anatom angielski, który różni się z prof. Le Gros Clarkiem i mną samym w poglądach na pokrewieństwa małpoludów południowo-afrykańskich, powiedział niedawno: „Co do znaczenia filogenetycznego, jakie zarówno dr Broom jak i prof. Le Gros Clark przywiązują do materiału, jest się znowu w kłopocie, bo wydawało by się, zwłaszcza z monografii Broom'a, że idee ewolucyjne w niej zawarte są inne niż poglądy ustalone w związku z nowoczesnymi studiami genetyki i selekcji."

Niektórzy z nas uważają, że „nowoczesne studia genetyki i selekcji" nie są wcale „ ustalone" bardziej jak Trzydzieści Dziewięć Artykułów (mowa o artykułach wiary wyznania anglikańskiego, przyp. tłum.). Nie wiem jakie są opinie Le Gros Clarka, lecz ja stwierdziłem dawno, iż nie sądzę, by teoria Darwina o doborze naturalnym dawała nam zadawalające wyjaśnienie w jaki sposób powstała ewolucja; a tu mogę stwierdzić tak samo kategorycznie swoje przekonanie, że Hunt Morganowi i innym genetykom również zupełnie się nie udało znaleźć wyjaśnienia.

Oczywiście jest wielu takich, którzy wykazali jasno, że nie są darwinistami. Bateson w 1914 pisał: „Idziemy do Darwina po jego niezrównany zbiór faktów. Ale nie mówi on już do nas z autorytetem filozoficznym. Czytamy jego schemat ewolucji, jak byśmy czytali schemat Lukrecjusza lub Lamarcka, rozkoszując się ich prostotą i ich odwagą". Watson w 1929 pisze: „Jedyne dwie ‚teorie ewolucji', które uzyskały powszechne uznanie, teorie Lamarcka i Darwina, opierają się na bardzo niepewnych podstawach; wartość założeń, na których się opierają rzadko badano poważnie, a nie interesują one większości młodych zoologów."

J. B. S. Haldane pisał o darwiniźmie w 1925: „Jest on wciąż tylko hypotezą roboczą. „Wielu podziela prawdopodobnie zdanie Sir D'Arcy Thompsona, który pisał w 1925: „Jak się wytwarzają gatunki w rzeczywistości, pozostaje nierozwiązaną zagadką; jest to wielka tajemnica. „Będzie rzeczą wcale interesującą odnotować, że T. H. Huxley, który prowadził wojnę w obronie doboru naturalnego i wyszedł z niej zwycięsko, chociaż był entuzjastycznym ewolucjonistą, nigdy nim nie był w sensie Darwina. Poulton pisał w 1908: „Huxley nigdy nie był przekonanym wyznawcą teorii, której bronił."

Ja osobiście nie waham się powiedzieć, ze chociaż byłem zawsze zdecydowanym ewolucjonistą, nie wierzyłem nigdy, żeby darwinizm był czynnikiem wielkiego znaczenia. Dobór naturalny rzeczywiście usuwa niezdatnego i urządza zdatnego, lecz w mojej opinii nie ma nic wspólnego *z tworzeniem* zdatnego.

Dr F. Weidenreich, może największy antropolog świata w czasach ostatnich, pisał w związku z ewolucją człowieka:

„Jeżeli przeglądamy wszystkie przemiany zachodzące w uzębieniu od stadium Sinathropus (człowiek pekiński) aż do stadium człowieka dzisiejszego, nie ma ani jednej, którą by można uważać za prawdziwą odmianę przypadkową. Wszystkie odchylenia wskazują tę samą cechę wyznaczoną przez dążność ogólnej przyczyny ewolucji człowieka, mianowicie: redukowania wielkości zębów i uproszczania ich wzorów. (...) Nic ponad ten fakt nie wykazuje jaśniej, że istnieje rzeczywiście pewnego rodzaju ogólny ‚plan roboczy', jeżeli można zrobić użytek z tak dwuznacznego terminu. Nie ma miejsca na zmiany przypadkowe w obrębie takiego ‚planu'... Ewolucja człowieka przedstawiona przez uzębienie jest typowym przykładem ewolucji ortogenetycznej (...) Wszystko, co zachodzi w uzębieniu, jest tylko konsekwencją zmiany ogólnej i nie może być wynikiem jakiegoś przypadkowego i bezpośredniego wpływu na zęby w rodzaju zmiany w odżywianiu się, ani jakiejś selekcji nieograniczonych zmian przypadkowych."

Russel Wallace, który w 1858 zaproponował wraz z Darwinem dobór naturalny, stopniowo zmienił poglądy. W 1869 pisał: „W mózgu najniższych plemion dzikich i, o ile wiemy, ras przedhistorycznych mamy organ (...) niewiele niższy pod względem wielkości i złożoności od mózgu typów najwyższych. (...) Lecz potrzeby umysłowe najniższych ludów dzikich, jak australczycy czy wyspiarze andamańscy, są mało co wyższe od potrzeb wielu zwierząt. (...) Jakżeż więc organ rozwinął się tak daleko poza potrzeby posiadacza? Dobór naturalny mógł obdarzyć dzikiego mózgiem nieco wyższym od mózgu małpy człekokształtnej, gdy w rzeczywistości posiada on mózg tylko nieco niższy od mózgu przeciętnych członków naszych towarzystw naukowych."

Jak można było przewidywać, kiedy Russel przypuścił, że mózg człowieka nie mógł powstać w wyniku doboru naturalnego, krytycy zaatakowali go za wiarę w to, że „nasze mózgi wytworzone są przez Boga, a nasze płuca przez dobór naturalny."

W ostatnim dziele, opublikowanym w 1910, na trzy lata przed śmiercią, Russel mówi: „W pracy obecnej wracam do przedmiotu po czterdziestu latach dalszych rozmyślań i bronię teraz doktryny, że nie tylko człowiek, ale cały świat żywy, w niemal wszystkich różnorakich przejawach prowadzi nas do tego samego wniosku — iż aby dać jakieś racjonalne wyjaśnienie jego zjawisk, musimy wysunąć postulat nieustannej akcji i przewodnictwa wyższych inteligencji; a dalej, że one pracują prawdopodobnie na rzecz jednego celu: rozwoju istot intelektualnych, moralnych i duchowych."

Najwięksi fizycy świata — Newton, Faraday, Clerk Maxwell i Kelvin — wszyscy czuli, że za tym wszystkim kryje się wielka tajemnica, a przytem wielka rzeczywistość.

Wiemy, że kiedy ziemia ostygła dostatecznie — może około 1.500 milionów lat temu — pojawiło się na niej życie. Jak ono powstało i skąd przyszło, nie wiemy. Lecz wiemy, że z pierwszego życia rozwinęła się wcale wielka liczba typów istot żywych. A kiedy przychodzimy do okresu kambryjskiego, jakieś 500,000,000 lat temu, znajdujemy na ziemi właściwie wszystkie główne typy życia (o ile możemy sądzić ze szkieletów), jakie mamy dzisiaj. Możemy mieć za przodków nawet ryby. Ale kiedy ewolucja posunęła się w ostatnich 500,000,000 latach, a znamy jej historię dosyć dobrze, uderza nas fakt bardzo dziwny, że chociaż powstały setki tysięcy nowych *odmian* zwierząt, wszystkie one należą do tych samych wielkich *grup*, które istniały na ziemi już w Kambrze.

Późniejsza historia ewolucji jest jeszcze bardziej uderzająca. Za czasów Eocenu — powiedzmy lat temu między 50,000,000 a 30,000,000 — małe prymitywne ssaki dały nagle początek przeszło tuzinowi bardzo rozmaitych rzędów — zwierzętom kopytnym, słoniom, mięsożernym, wielorybom, gryzoniom, nietoperzom, małpom. A potem nigdy już nie rozwinęły się inne rzędy ssaków. Były wielkie zmiany ewolucyjne w rzędach, które już istniały, ale — rzecz dziwna — przyroda wydawała się niezdolna do wytworzenia jakichś rzędów nowych. Co jest równie uderzające, żadne nowe typy ptaków nie rozwinęły się w ostatnich 30,000,000 lat. A najciekawsze ze wszystkiego: okazuje się, że od Eocenu nie rozwinęły się żadne nowe rodziny roślin. Cała większa ewolucja doszła widocznie do kresu. W tych ostatnich 30,000,000 lat nie rozwinęły się, jak widać, ani nowe typy ryb, ani nowe grupy mięczaków, robaków czy rozgwiazd, ani nawet żadne nowe grupy owadów. Potworzyły się, naturalnie, liczne nowe *gatunki*, wszystkie one należą jednak do rodzin, które pojawiły się przed długimi milionami lat. Cała mająca jakąś wagę ewolucja ma się ku końcowi — z wyjątkiem ewolucji człowieka, która może iść znacznie dalej.

Ci, którzy sądzą, że cały ten dziwny bieg ewolucji jest wynikiem przypadku, albo serii przypadków, mogą tak myśleć dowoli. Ja wierzę, że istnieje Plan; a chociaż w powolnym biegu ewolucji widać wzloty i upadki, i to, co wygląda na omyłki, plan realizuje się dalej; możemy zaś być pewni, że cel swój osiągnie niechybnie.

Przełożył: **Tomasz Janikowski**

1) Finding the Missing Link. An account of recent discoveries throwing new light on the Origin of Man, by Robert Broom, London, Watts & CO, 1950.

N. N.

DWIE WARSZAWY

Pewien pisarz angielski, który niedawno odwiedził Warszawę, nadesłał nam następujący artykuł.

SZAROŚĆ wilgotnego, wyjątkowo ładnego listopada snuła się nad Warszawą, gdy żegnałem się z nią przed sześcioma tygodniami. Poprzednia moja bytność w pogruchotanej stolicy Polski miała miejsce przeszło dwa lata wcześniej; już wtedy stwierdziłem zapowiedzi wielkich zmian, ale obecnie przeobrażenia posunęły się tak daleko, że Warszawa w zadziwiający sposób stała się dwoma miastami w jednym.

Znalazłem tam pozostałości tej Warszawy, jaką widziałem po raz pierwszy w listopadzie 1946 roku — Warszawy zaimprowizowanych parterowych sklepów, kwiatów sprzedawanych wśród gruzów i rumowisk, tłumów — w powyciąganych skąd się da ubraniach — czyniących zakupy lub oglądających wystawy sklepowe warszawskiej Oxford Street — Marszałkowskiej; Warszawy mrówczego trudu murarzy, sztubaków, cieśli i artystów, uwijających się wśród tych nieruchomości, których stan dawał jaką taką nadzieję naprawy i mieszkalności.

Druga Warszawa, wznosząca się w zdumiewający sposób z ruin pierwszej, ma w sobie coś z magicznej nagłości. Oto przykład: w roku 1948 w zachodniej części Placu Trzech Krzyży stos poskręcanych i zardzewiałych belek żelaznych niby ohydna roślina wyrastał z grzędy porozwalanych murów. Dziś stoi na tym miejscu gigantyczny gmach ministerialny. Może się komuś nie podobać kształt tej budowli, ani jej kolor i przeznaczenie — ale sam fakt, że stanęła tam, ma w sobie coś dramatycznego i poruszającego do głębi.

Pomnóżcie ten wielki budynek rządowy przez dwieście albo przez trzysta, a będziecie mieć niejakie pojęcie o tempie w jakim rośnie nowa Warszawa.

Zanim zacząłem się zastanawiać nad dalszymi widokami szeroko reklamowanego Planu Sześcioletniego, rozglądałem się za tym, co było mi już znane. Sporo z tych rzeczy trwa jeszcze. Tłumy ludzi uwijają się ciągle po południowym odcinku ulicy Marszałkowskiej. Zauważyłem jednak dwie różnice.

Przede wszystkim, gdyby postawiono mnie nagle na środku tej ulicy, nie mógłbym jej w ogóle poznać. Zgodnie z Planem Sześcioletnim ma być ona poważnie poszerzona. W związku z tym drewniane płoty wyciągają się wzdłuż ulicy, a poza nimi wre nieustanna praca burzenia i usuwania gruzów. Z tego powodu Marszałkowska utraciła zupełnie wesoły wygląd, jaki nadawały jej jasno oświetlone małe okna wystaw sklepowych. Obiecuje się obywatelom, że za sześć lat będzie wyglądać wspaniale, ale teraz przedstawia sobą widok przygnębiająco posępny.

Drugą różnicę dostrzegłem — nie tylko na Marszałkowskiej, ale w całym centrum Warszawy — w wyglądzie zewnętrznym ludzi, tworzących tłum uliczny. Wydali mi się ludźmi bez radości. Może to nuda listopadowego nieba sprawiła, że wszystko zdawało się gorsze niż w rzeczywistości, ale tak to właśnie widziałem. Mężczyźni i kobiety w dziwnych kombinacjach ubiorów: długie i krótkie płaszcze, znoszone wełniane czapki i wyświechtane kapelusze, obuwie najrozmaitsze, często zupełnie nieodpowiednich typów. Nie widziałem żadnej szykownej kobiety. Ubóstwo oczywiste, w najwyższym stopniu zasmucające.

Później badałem sprawę kosztów ubrania i obuwia: szybko zrozumiałem dlaczego tak wiele osób wydaje się nosić — do ostatnich granic możliwości — stroje, które musiały być szyte przed kilkunastu lub kilkudziesięciu laty.

Przechadzając się po znanych mi ulicach centrum, przekonałem się, że ruch kołowy nie uległ wielkim zmianom w ciągu ostatnich dwóch lat. Ciągle ta sama mieszanina staroświecczyzny i nowoczesności, która zawsze czyniła z Warszawy miasto irytujące dla kierowcy samochodu. Jeśli chodzi o najpowolniejszy koniec skali, to spotykałem wiele wozów konnych, dudniących na brukach i asfaltach głównych ulic. Tu i ówdzie konna dorożka. Jedna z nich wyładowana była siedmioma czy ośmioma olbrzymimi balami — musiało to być siano, bo każdy cięższy towar o tej objętości zmiażdżyłby drewnianą karoserię i połamał resory.

Na najszybszym końcu listy stoją ciągle chmary amerykańskich limuzyn Chevrolet, przydzielanych wyższym urzędnikom ministerialnym. Gdzieniegdzie spotykałem także drogie i szybkie wozy zagraniczne należące do członków korpusu dyplomatycznego. Zdecydowana jednak większość samochodów poruszających się po Warszawie — to małe i średnie wozy; jedną czwartą ich liczby stanowią powojenne, czechosłowackie Skody (jak przypuszczam używane przeważnie przez nieco niższe rangi urzędników ministerialnych), na resztę zaś składają się maszyny przedwojenne, z tego wiele w ostatnim stadium używalności; większość tych przedwojennych aut kursuje w charakterze taksówek. Ogólnie biorąc, ruch kołowy w Warszawie przedstawia sobą obraz ruiny, za co nie można zresztą winić ani rządu, ani społeczeństwa.

Przed paru laty widziałem w Warszawie wielu żebraków. Pewien mały chłopak przyczepił się wówczas do mego wozu i oczekiwał skromnego napiwku za każde otwarcie drzwiczek. Tym razem nie spotkałem na ulicy ani jednego żebraka. Jedyną osobą, którą mógłbym zakwalifikować mniej więcej do tej kategorii, był chłopiec około lat szesnastu, sprzedający w Alei Jerozolimskiej grzebienie z plastyku po 10 zł. za sztukę. Gdy zaofiarowałem mu za grzebień 5 złotych, odmówił sprzedaży, co nie przemawia za tym, by był żebrakiem.

Złożyłem wizytę w pewnym mieszkaniu w śródmieściu Warszawy. Byłem zaskoczony zrujnowanym wyglądem hallu. Było oczywistym, że od roku 1945 nie wydano tu ani grosza na farbę lub tapetę. Być może ta część ulicy Wilczej ma być zburzona w ramach Planu Sześcioletniego; w każdym razie bezpośrednie wrażenie nie było przyjemne. Takiż stan rzeczy znalazłem w bloku mieszkaniowym na Pięknej i w innym domu przy ul. Widok. Sądząc z powierzchownych obserwacji, mogę powiedzieć, że w centrum jedynie budynki rządowe i budynki wybudowane ostatnio wyglądają przyzwoicie i świeżo.

Transport publiczny operuje głównie tramwajami i autobusami. Autobusy — obszerne, czerwone, jednopokładowe — zostały podobno zakupione po wojnie we Francji. Są szybkie i zupełnie wygodne — z wyjątkiem godzin wielkiego ruchu, gdy dostanie się do autobusu lub tramwaju wymaga wielkiej sprawności fizycznej i zastosowania atletyki.

W czasie spokojniejszych godzin dnia jeździłem wieloma tramwajami. Już w pierwszym, do którego wsiadłem, znalazłem nalepiony na szybie okiennej afisz „*Czytaj prasę rosyjską*". Afisz przedstawiał strony tytułowe głównych gazet rosyjskich, z „*Izwiestiami*" i „*Prawdą*" na czele. Muszę przyznać, że nie zauważyłem na ulicach nikogo z rosyjską gazetą.

Gdy byłem w Warszawie przed trzema laty, jadałem czasem w restauracji „*Canaletto*" w pobliżu Marszałkowskiej. Był to wówczas zakład prywatny, dość drogi, dobrze prowadzony. Jadało się tam doskonale. Postanowiłem pójść tam znowu.

Dziś nie jest to już impreza prywatna, choć ceny są wciąż wysokie. Restauracja nie jest już tak dobrze prowadzona, posiłki gorzej przyrządzane i znacznie gorzej podane. Obrusy poplamione, brudne, kurtki kelnerów są tylko wspomnieniem poprzedniej białości, upstrzonym tłustymi śladami sosów; obsługa hałaśliwa, a w barze, na miejsce eleganckich i przystojnych panien, które tam widywałem, posadzono, niestety, panie o całkiem innym wyglądzie — z pewnością obdarzone złotym sercem, ale mało szykowne.

Oto zanotowane przeze mnie ceny niektórych posiłków (w złotych przewaluowanych): śledź w śmietanie — 2.55 zł.; szczupak faszerowany — 6.20; sandacz w galarecie 9.40; kiełbasa na gorąco z cebulką i kartoflami — 4.20; bigos domowy — 4.05; pieczeń wieprzowa z kapustą i kartoflami fritt — 7.05; zrazy po myśliwsku, fritt — 10.80; antrykot wieprzowy z sałatą, k. fritt — 7.80; indyk z borówkami — 15.00, zł.; kurczę duszone z jarzynami — 10.50; kalafior z masłem 4.65; tort z kremem — 4.50; herbata — 1.95; kawa prawdziwa, filiżanka — 1.20.

Ponieważ za jednego funta angielskiego otrzymałem 11.15 zł., więc posiłek z trzech dań nie był dla mnie tani, zwłaszcza, że piłem także piwo i wódkę, której litr kosztuje teraz 40 zł.

Poinformowano mnie, że przeprzeciętna płaca robotnika waha się w granicach 500 — 600 zł. miesięcznie, a pensja średniego pracownika umysłowego wynosi od 1.000 do 1.200 zł. miesięcznie. Biorąc te cyfry za podstawę wybrałem się na krótki przegląd cen towarów wystawionych w oknach sklepowych, aby przekonać się co można kupić za miesięczne pobory.

O cenach żywności wspominałem wyżej, ale dodam, że masło kosztuje 24 zł. za kilo, szynka 18 zł., cukier 5.25, kiełbasa serdelowa 11.70, schab wędzony — 17.10, jabłka od 10 do 14 zł. Nie widziałem kawy na wystawach.

Wkrótce stało się dla mnie jasne, że najpoważniejszą pozycją w budżecie rodziny polskiej zajmuje ubranie. W porównaniu z dochodem przeciętnym ceny są wprost fantastyczne. Na przykład metr czystego materiału wełnianego na ubranie męskie kosztuje 450 zł. Krawiec potrzebuje ponad trzy metry materiału na ubranie. Przy okazji przekonałem się, że samo oczyszczenie i odprasowanie ubrania męskiego kosztuje 36 zł., a oczyszczenie sukni damskiej 20 zł.

Wydatek na buty stanowi poważny punkt w budżecie rodzinnym. Para dość dobrych butów męskich kosztuje około 400 — 500 zł., ale bardzo dobre buty znacznie drożej. Widziałem tandetne buciki skórzane dla dziecka 5-letniego za 200 zł.

Swetry wełniane kosztują od 200 do 300 zł. Komplet bielizny damskiej ze sztucznego jedwabiu, skandalicznie wykonany — kosztuje 200 zł. W głębi wystawy sklepu sportowego zauważyłem damskie spodnie narciarskie, wykonane z najgorszego materiału: cena 620 zł. Najbardziej zawrotna cena, na jaką się natknąłem, wynosiła 2.500 zł. za dobry tapczan.

Po dwugodzinnym oglądaniu wystaw sklepowych zrozumiałem aż za dobrze, dlaczego mieszkańcy Warszawy noszą swe najstarsze ubrania. Zapytałem urzędnika jednego z ministerstw, co może powiedzieć o odzieży, sprzedawanej po cenach niedostępnych w praktyce dla biednego człowieka. Odpowiedział mi, że pod koniec realizacji Planu Sześcioletniego będzie obfitość taniej odzieży dla wszystkich. Dla dobra Polaków w Polsce rad bym przyznać mu rację.

Przed wyjazdem z Warszawy udało mi się zrobić krótką przejażdżkę po Starym Mieście i innych dzielnicach, gdzie poczyniono najbardziej sensacyjne postępy w dziedzinie odbudowy. Uderzające rezultaty osiągnięto na zachodnim końcu budowanej Trasy W — Z. Jest to obecnie pokazowa partia Warszawy. Widziałem tam wykładany białymi cegiełkami tunel, schody ruchome na wyższy poziom, pomnik króla Zygmunta, dominujący nad okolicą z wysokości wysmukłej kolumny. A w dole miasteczko Mariensztat z wesołymi malowidłami na ścianach domów i atmosferą samodzielnego, uroczego osiedla.

Urzędnik ministerstwa — ten sam, którego wspominałem wyżej — powiedział mi, że robotnicy, którzy najusilniej przykładali się do dobót budowlanych przy trasie W — Z, otrzymali w nagrodę mieszkania na Mariensztacie. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie, ale inny Polak (nie będący urzędnikiem), zaprzyjaźniony z mieszkającą na Mariensztacie rodziną, poinformował mnie, że żaden robotnik tam nie mieszka, a większość lokali przydzielono urzędnikom rządowym. Komu więc ma wierzyć biedny cudzoziemiec?

Największa niespodzianka spotkała mnie na Rynku Staromiejskim, dokąd przed dwoma i pół laty można było się dostać tylko z trudem, ostrożnie przesuwając się wąskimi przejściami przez góry gruzu — poto tylko, by rozpoznać tam zaledwie ogólny zarys placu.

Dziś można wjechać samochodem na Rynek — zupełnie oczyszczony, jeśli nie liczyć paru porządnie ustawionych brył wybranych z ruin cegieł i tymczasowych, drewnianych baraków robotniczych. Fronty kamienic rynkowych rosną zwolna w swych dawnych, znajomych mi kształtach. Przykłada się wielką wagę do ścisłości reprodukcji. Ta zmiana jest zupełnie oszałamiająca. Pobliska katedra wypełniona jest rusztowaniami; gdy przechodziłem tam o godzinie drugiej w nocy, robotnicy pracowali w jej wnętrzu.

W rejonie byłego ghetta, które ciągle wygląda jak diuny — nie piasku, lecz cegieł i gruzu, poczyniono znaczne postępy w oczyszczeniu ulic. Część korzystnego wrażenia rozwiała się, gdy mijałem ogrodzenie z drutów kolczastych, wyposażone w wieże strażnicze i gdy mi powiedziano, że pracują tam więźniowie polityczni.

W tejże dzielnicy zatrzymałem się, by obejrzeć przysadzisty, granitowy pomnik żydowski, wykonany według projektu rzeźbiarza Rappaporta ze szwedzkiego granitu zamówionego — jak mówią — przez Hitlera na budowę łuku tryumfalnego. Odlana z brązu, umieszczona na licu pomnika grupa — pełna napięcia, powykręcana i zawiła — posiada pewną siłę wyrazu. Zdaje się jednak, że coś mniej skomplikowanego, bardziej spokojnego i dostojnego byłoby bardziej na miejscu na granicy tego pustkowia tragicznych wspomnień.

Koło tego pomnika zakończyła się moja krótka wizyta w Warszawie, która za sześć lat będzie zupełnie nie do poznania dla Polaków, przebywających za granicą od zakończenia wojny. Projektodawcy nowej Warszawy wymyślili miasto, które mnie wydaje się dziwnie niepolskie, jakieś czcze i pretensjonalne — jak gdyby usiłowało zaćmić szerokie perspektywy napoleońskiego Paryża.

Jest to tylko mój osobisty pogląd. Znam polaków w Anglii, którzy widzieli plany i byli pod wrażeniem monumentalności i przestrzenności całej tej koncepcji. Mam nadzieję, że w roku 1956 będę mógł udać się znowu do nowej Warszawy, która — zgodnie z zapewnieniami planujących ma być wtedy gotowa.

N. N.

Przełożył: Stanisław P.

NASTROJE PEWNYCH KÓŁ WŁOSKICH

Na tle klęski amerykańskiej w Korei ujawnia się we Włoszech nie tylko wielkie zaniepokojenie opinii, ale mają miejsce także sporadyczne objawy popłochu, które sięgały aż po lewe skrzydło partii chrz.-demokratycznej. Ni stąd ni zowąd p. Igino Giordani, poseł do parlamentu, b. redaktor katolickiego „Quotidiano" oraz rządowego „Popolo", wystosował list otwarty do jednego z redaktorów komunistycznej „Unità" w Mediolanie, niejakiego p. Lajolo, proponując wspólną akcję na rzecz pokoju. Dziennik „Libertà", będący organem lewego skrzydła chrz-demokracji (przewodniczący parlamentu Gronchi, Dossetti, Fanfani itd.), odniósł się do tej inicjatywy życzliwie. Komuniści przyjęli ją tryumfalnie. Nikt naturalnie nie bierze serio, a już komuniści najmniej, planu pokojowego Giordani-Lajolo: poważnie natomiast wygląda pęknięcie w obozie chrz-demokratycznej większości, które się w ten sposób zarysowało.

Jednym z dalszych przejawów defetystycznych nastrojów, które w pewnych kołach opinii włoskiej przejawiły się w związku z klęską koreańską i mową Tafta, jest artykuł wstępny „Messaggero", poświęcony mowie Ojca św., wygłoszonej w dniu N. Roku do Korpusu Dyplomatycznego (a którą wydrukowało ŻYCIE w nr. 2/187). W/g „Messaggero" właściwym sensem tej mowy jest, że Papież ostrzega przed wojną prewencyjną a poza tym wzywa rządy do układów, które by miały zapewnić pokój za jak najdalej nawet idącą cenę. W artykule tym pominięto milczeniem, że Ojciec św. cały czas mówił o pokoju sprawiedliwym, dobrowolnie przyjętym przez strony a przy tym dopuścił i wyraźnie określił wypadki, w których katolicy mogą i winni chwycić za broń. O tym wszystkim „Messaggero" nie wspomina, mówiąc tylko o załatwianiu sporów azjatyckich „bez pewnych obciążeń prestiżowych".

Za dużo tego było „Osservatore Romano", który w artykule redakcyjnym z 9 bm. zatrzymał „Messaggero" w jego pacyfistyczno-defetystycznych rozpędach, odrzucając współpracę dla pokoju z komunistami i ich „ruchem pokoju" i przypominając, że 19 wieków temu, w noc B. Narodzenia, powstał prawdziwy Ruch Pokoju — a z nim także i wojna.

REAKCJA ZDROWEJ CZĘŚCI NARODU

Nastroje p. Giordani spotkały się, przyznać należy, że stanowczą reakcją większości prasy rządowej i katolickiej. Konserwatywny „Tempo", w dwóch artykułach wstępnych, wyszydza tych, którzy pod wpływem strachu wpadają w niedopuszczalną naiwność albo przynajmniej ją udają. Dziennik daje smutny obraz Europy zachodniej. We Włoszech „Libertà", w barwach przewodniczącego Izby, Gronchi, rozmawia z „Unità", by odkryć, że pokój jest lepszy od wojny; „Messaggero" wprawdzie nie rozmawia, ale oddaje się monologom w tej samej tonacji; dla ratowania pokoju wysuwa się plan Giordani-Lajolo, bo Truman i Stalin nie mogą się porozumieć; Nehru, zwany mędrcem, rozmawia z Atlee i Bevinem na brzegach Tamizy i wskazuje w sposób niezawodny ukwiecone drogi pokoju; nieoceniony „New Statesman and Nation" rozgląda się już za możliwościami złamania solidarności z polityką zagraniczną amerykańską; na brzegach Sekwany odpowiada im dwuznaczny i giętki „Le Monde", którego postawa polityczna i intelektualna przypomina najbardziej wykrętną politykę Bizancjum i którego zasługą jest, że tradycja dyplomatyczna ojczyzny Kartezjusza została pozbawiona wszelkiej logiki i wszelkiej jasności politycznej. Wystarczyło ażeby taka potęga, jaką są Stany Zjednoczone, poniosła lokalną porażkę na półwyspie koreańskim, wystarczyło żeby jeden polityk opozycyjny (Taft) wypowiedział nieodpowiedzialną i niebezpieczną mowę, by namnożyło się Wallace'ów francuskich, angielskich i włoskich. Gdy agresorem byli północni Koreańczycy, nazywano rzeczy po imieniu a napastnika napastnikiem: gdy napastnikiem są potężne Chiny, nikt nie śmie ich nazwać napastnikiem po imieniu, a jedni błagają drugich, by tego nie czynili. A przecież rację miał Spofford przypominając, że Zachód produkuje cztery razy tyle stali co Sowiety, pięć razy tyle energii elektrycznej, dziesięć razy tyle zboża i cztery razy tyle mięsa: że rozporządza 350 milionami ludzi przygotowanych, wyspecjalizowanych i produktywnych. Trzeba tylko, żeby zjednoczył swe wysiłki.

Trzeba to powiedzieć: wojna przejmuje Włochów wstrętem, ale nie strachem. Jeżeli się boją czego, to nastania rządów bolszewickich z ich niszczeniem wolności publicznej, bezpieczeństwa prywatnego, energii indywidualnej, niepodległości narodowej. Widząc to wszystko w krajach przez Sowiety ujarzmionych, widząc bolszewicki fanatyzm i kult oficjalności, widząc to zamieranie z dnia na dzień, Włosi woleliby nawet wojnę, gdyby ona była nieunikniona. Ale nieuniknioną ona nie jest, jeżeli tylko Zachód pozostanie mocny i **zjednoczony.**

STANOWISKO KATOLICKIEGO „QUOTIDIANO"

„Quotidiano" z 9 stycznia zabiera głos także w ogólnej dyskusji na temat pokoju i konieczności jego utrzymania. Dziennik przede wszystkim odrzuca to, co określa jako błazeńską pretensję komunistów: że ruch tak zw. partyzantów pokoju jest największym ruchem pokojowym w historii. Dziennik przypomina wszystkie wysiłki Piusa XII dla utrzymania pokoju, kończąc na ostatnim przemówieniu Jego do Korpusu Dyplomatycznego w dniu N. Roku i stwierdza, że cały świat oddał sprawiedliwość i hołd akcji Papieża. Nic dziwnego, że na tle tej akcji wszyscy muszą się śmiać — nie radując się niestety — z nieprzytomnej parady partyzantów pokoju.

Dziennik przechodzi potem do omówienia mowy redaktora „Avanti", socjalistycznego senatora Pertini, który przemawiając w Savonie powiedział: „Jeżeli przeciwnicy nasi przyniosą nam pokój, zawołamy z nimi: niech żyje pokój. Ale jeżeli nam przyniosą wojnę, zawołamy: niech żyje rewolucja — bo trzeba, aby masy robotnicze zamieniły ewentualną wojnę w wojnę domową."

„Quotidiano" zapytuje, jak długo jeszcze będzie musiał kraj, który zabiera się właśnie do realizacji ciężkiego programu obrony i potrzebuje jedności wszystkich sił narodowych, znosić wybryki fanatyków, którzy wzywają do nienawiści, zdrady i budowania barykad. Raz wreszcie trzeba uniemożliwić ich zbrodniczą akcję prowokowania nieporządków i buntów, prowadzących wprost do wojny domowej i insurekcji.

GŁOS „POPOLO DI ROMA"

Niezależny „Popolo di Roma" tak kończy swój artykuł wstępny z 9 stycznia: „Biada tym Włochom, którzy chcą skompromitować Kościół, ten Kościół, który powinien zostać ponad wszelkimi naszymi walkami. Świat chrześcijański stanął już w szyku przeciw światu komunistycznemu i bezbożniczemu. Ale w tym szyku chrześcijańskim tylko anglikanie, kalwini, luteranie i protestanci zbroją się i są gotowi do obrony. Katolicy nie. Katolicy przysłuchują się barankowi Giordani, który wygłasza kazania na temat nieopierania się napastnikowi. Jakie byłoby położenie katolicyzmu, gdyby wojna przeciwko komunistycznemu bezbożnictwu została przeprowadzona i wygrana tylko przez protestantów?"

Od siebie możemy dodać, że doświadczenie takie już mamy. Wiemy co się stało, gdy wojna przeciwko pogańskiemu bezbożnictwu została wygrana wyłącznie przez protestantów i bolszewików.

PEN-KLUBOWA PASSIONARIA

Od pewnego czasu uwagę polskiego światka literackiego na emigracji zaprząta działalność P. Marii Kuncewiczowej, energicznie wspieranej przez P. Stanisława Balińskiego. Działalność ta polega na głośnej i wybuchającej cyklicznie (mniej więcej co pół roku) agitacji za wpisywaniem się pisarzy polskich, przebywających na obczyźnie, do brytyjskiego PEN-Clubu, a to celem otrzymania przez nich jakiejś bliżej nieokreślonej materialnej pomocy.

Agitacja taka byłaby niewątpliwie szlachetnym aktem, gdyby spod spódniczki nie wystawały jakieś bajecznie kolorowe i niekoniecznie śnieżnej czystości falbanki. Są to mianowicie słowa magiczne, formułki nieścisłe i obietnice raczej syrenie.

Słowa magiczne, to „Jałta", „protest przeciw przemocy", „swoboda wyrazu artystycznego". Używa ich pisarka, która w okresie najtrudniejszym, gdy się krystalizowało oblicze emigracji politycznej, stała zdala od społecznych polskich wysiłków, pogardziwszy własnym (t. zn. polskim) Związkiem Pisarzy, do którego manifestacyjnie nie zgłosiła akcesu. W tymże samym natomiast czasie pisywała do prasy komunistycznej w Kraju, mianowicie do tygodnika „Odrodzenie", biorąc m. in. udział w ankiecie tego pisma n. t. wznowienia Polskiej Akademii Literatury.

Sformułowania nieścisłe, to chociażby niedawne, publiczne w „Dzienniku Polskim" oświadczenie P. Kuncewiczowej, iż ją „prasa krajowa zaraz po wojnie... przedrukowała parę razy..." Ejże, przedrukowała? A z czego przedrukowała?

Obietnice syrenie, to owa pomoc. Nie wiadomo bowiem ciągle, czy w trosce P. Marii Kuncewiczowej o udział pisarzy polskich w jakiejś nowotworzonej sekcji czy komisji *międzynarodowej* nie ma też aby szczypty potrzeby posiadania zaplecza w reprezentacji uciśnionego „artystycznego wyrazu". Przecież *polska* reprezentacja już istnieje!

P. Kuncewiczowa ze świętym oburzeniem oświadcza publicznie, iż „nikt jej nie zapędzi do jakichkolwiek Związków". Proszę, proszę... Do „jakichkolwiek"... Jakikolwiek jest mianowicie Związek Pisarzy Polskich, a nie-byle-jaki widać — międzynarodowa grupka PEN-Clubu.

Istota rzeczy w tym, że akcja P. Kuncewiczowej wyraźnie lekceważy narodową reprezentację polskich pisarzy. Autorka „Cudzoziemki" woli cudzoziemców. Chciałaby z nich utworzyć „Klub obecnych". Charakter pisarzy polskich zadecyduje, czy skończy się tylko na „Zmowie nieobecnych".

Jan Bielatowicz

Z teatrów angielskich

SPRAWA ŻYCIA I ŚMIERCI

JEAN ANOUILH szybko staje się faworytem scen londyńskich. Jeszcze nie przestano grać w teatrze 'Globę' uroczej burleski o rozkapryszonej milionerce i kopciuszku, noszącej w angielskim doskonałym przekładzie tytuł „Ring round the moon", a w oryginale „Invitation au Chateau", a już w teatrze 'Lyric' na Hammersmith odbyła się premiera sztuki „Point of Departure", opowiadającej w sposób nowoczesny historię Orfeusza i Eurydyki.

Teatr 'Lyric' prowadzony jest bardzo ambitnie, ma flair do interpretowania sztuk, których inny teatr z różnych względów nigdy by nie tknął. Rzecz ciekawa, najsłabiej udają mu się sztuki angielskie — najlepiej kontynentalne. Niedawno zagrano wspaniale interesującą sztukę Strindberga „Panna Julia", potem przez dłuższy czas szła rzecz Sartre'a, słynna „Respectable Prostitute". Obecnie porwano się na wystawienie modnego Anouilha. W Anglii stosunkowo gorzej wypada zawsze strona dekoracyjna, może dlatego, że Anglicy są organicznie niezdolni do stworzenia syntezy, do tego, aby jednym spojrzeniem objąć całość, — zawsze roztapiają się w szczegółach. Dlatego akt II wygląda od strony dekoracyjnej słabo, ale pierwsze odsłonięcie kurtyny pokazujące stację kolejową z dobrymi efektami świetlnymi (przelatujący pociąg) i słuchowymi (przejmujący krzyk ginącego pod kołami porzuconego kochanka) jest jak na stosunki angielskie na wysokim poziomie.

Ciekawą rzeczą byłoby stwierdzenie, dlaczego tylu pisarzy XX wieku i to przede wszystkim francuskich cofa się w przeszłość w poszukiwaniu tematu. Czyżby zawiniła defetystyczna atmosfera, panująca we Francji tuż przed wojną a częściowo i po wojnie? Czy też po prostu teraźniejszość pod cieniem pióropusza bomby atomowej nie sprzyja poszukiwaniu nowych wątków teatralnych. Może być również — powód tkwi w tym, że sytuacyj dramatycznych jest ostatecznie skończona ilość (naliczono ich 17, jeśli się nie mylę, i od czasu Ibsena, który stworzył całkowicie nową w Henryku VI — pisarze nie wymyślili nic, co by nie było znane od niepamiętnych czasów). Zresztą zużytkowanie starej legendy ma swoje dobre strony, daje bowiem autorowi możność popisania się zręcznością sceniczną w transponowaniu klasycznych przygód na nowoczesność. Historia Orfeusza i Eurydyki jest we Francji faworyzowana: niedawno Jean Cocteau nakręcił film na ten sam temat, również uwspółcześniony, i te dwa dzieła sztuki (bo pomimo wszystkich swych usterek oba są dziełami sztuki) mają podobne założenie, gdyż w obu tematem zasadniczym jest najważniejsza sprawa życia: śmierć.

Prześledźmy treść sztuki Anouilha: Dwoje młodych ludzi spotyka się przypadkowo między jednym, a drugim pociągiem na stacji. Rodzi się miłość od pierwszego spojrzenia. Przed chwilą nie znali się, a teraz już bez siebie nie mogą żyć. Tło dla tego świeżego i trochę naiwnego uczucia tworzy inny romans — kontrastowo różny, zdegradowany i cyniczny — matki dziewczyny i jej podstarzałego lowelasa. Aby ujść trywialnej rzeczywistości, młodzi ludzie uciekają, pozostawiając — on ojca — a ona matkę. Dopiero gdy zostają po raz pierwszy sami, stwierdzają, że nie znają swych imion. Jak ci na imię? — Orfeusz. A tobie? — Eurydyka. Tu kurtyna spada — koniec pierwszego aktu.

W akcie drugim Eurydyka porzuca ukochanego, bo wydaje jej się, że jest niegodna jego miłości. Odchodząc ginie przypadkiem w katastrofie. Orfeusz rozpacza, lecz znajduje pocieszyciela w przygodnie poznanym dżentelmenie o białej twarzy bez wyrazu i sciszonym, perswazji pełnym głosie.

Ów dżentelmen uporczywie nie odpowiada na pytanie kim jest, ale po dreszczu grozy, jaką wprowadza, zgadujemy odrazu, że przy Orfeuszu kręci się śmierć.

Aczkolwiek dżentelmen przedstawiający śmierć tak wygląda, jakby nie miało do niego dostępu żadne ludzkie uczucie prócz rezygnacji — potrafił się jednak wzruszyć losem osieroconego Orfeusza (granego świetnie przez młodego i pełnego wdzięku Dirk Bogarde), bo zabiera go z powrotem na stację, gdzie kochankowie się poznali. Przy akompaniamencie nieziemskiej muzyki zjawia się Eurydyka drżąca jeszcze od chłodnego powiewu zaświata — i pada w ramiona Orfeusza. Ale kochanek odwraca głowę. Do świtu nie wolno mu na nią spojrzeć.

Tutaj następuje najciekawsza i najbardziej wzruszająca część sztuki. Noc ciągnie się bez końca. Usadowieni plecami do siebie na zimnej stacyjce zaczynają rozmowę, która szybko przeradza się w kłótnię — Orfeusz jest zazdrosny, pyta dlaczego odeszła, czy prawdą jest, że zanim go poznała, żyła z managerem trupy aktorskiej. Dziewczyna twierdzi, że jest niewinna, ale on jej nie wierzy. „Ah — woła — gdybym mógł tylko spojrzeć w twe oczy, wiedziałbym odrazu, czy mówisz prawdę." Eurydyka błaga go, by jej zaufał — ona chce żyć ale Orfeusz pragnie i to natychmiast, pewności za wszelką cenę. Wreszcie spogląda w jej oczy i dowiaduje się prawdy. Dziewczyna istotnie żyła z dyrektorem, ale tylko dlatego, aby uratować biednego człowieczynę, który naraził się dyrektorowi za co groziło mu usunięcie z zespołu aktorów i śmierć głodowa.

Psychologia miłości odmalowana jest urzekająco. Francuzi są narodem speców w dziedzinie tych zagadnień. Arcy-prawdziwa jest ta niecierpliwa chęć Orfeusza dowiedzenia się prawdy za wszelkę cenę, nawet za cenę poświęcenia szczęścia.

Miłość jest dziedziną, gdzie wykluczone są jakiekolwiek kompromisy — chce się mieć całkowitą pewność posiadania. Tymbardziej, że poeta Orfeusz rozsnuł dookoła ukochanej całą przędzę po zji — stworzył jej wizerunek wyśniony, zupełnie inny od tej Eurydyki, która istniała w rzeczywistości. Ona to dostrzegła i pragnęła odejść, aby nie niszczyć iluzji.

Sztuka jest interesująca przede wszystkim ujęciem zagadnienia śmierci przez Anouilha. Jest to śmierć ultra - nowoczesna, poprawna, szybka, nie budząca grozy — raczej łagodnie pociągająca. Dżentelmen, który ją przedstawia, przypomina trochę obsługującego krematorium, a może nawet bardziej ludzkiego urzędnika obozu koncentracyjnego. Wrażenie potęguje fakt, że ubrany jest w jakiś niby to mundur niewiadomego pochodzenia, bez żadnych odznak. Ta śmierć XX wieku wygląda jak ucieleśniona nuda, wabiąca tylko zlekka nadzieją większego wypoczynku, niż może być zapewniony tu na ziemi. Jakże różna jest od śmierci barokowej, która ludziom miłującym życie i namiętnie do niego przywiązanym jawiła się jako ohydny szkielet zdzierający z czoła brutalnie różany wieniec i wytrącający z ręki czaszę z winem. Ta śmierć była fantastyczna, bajkowa i niesamowita. Napełnia nas dziś jeszcze grozą kontrast pomiędzy urodą życia ucieleśnioną na grobowcu w wizerunku pięknej, dojrzałej kobiety, a zimnym szkieletem szczerzącym gołe bezmięsne szczęki.

Co inngo śmierć nowoczesna — tak jak ją widzi Anouilh. Wiek bieżący widział tyle okropności, nędzy i poniżenia, że zasypana została całkowicie przepaść między utratą, a pięknem życia, którym się rozkoszowali nasi przodkowie. Śmierć „dzisiejsza" jest raczej odpoczynkiem, rezygnacją, zapomnieniem dającym narkozę dla ucieczki od rzeczywistości, zbyt strasznej do przyjęcia. Nic nie może być gorszego od życia.

W sensie odczuwania tych spraw sztuka Anouilha jest niewątpliwie eskapistyczna. Orfeusz bowiem wybiera śmierć dobrowolnie. Pomimo błagań ojca w ostatnim akcie i jego zapewnień, że czas uleczy ranę po stracie Eurydyki — bohater ucieka od życia w ślad za ukochaną. Śmierć patrzy z ironicznym uśmiechem, jak stary sybaryta — ledwo trzymający się na nogach pod wpływem trunków i starości — wygłasza płomienną tyradę na cześć życia. „Patrz — powiada Śmierć do Orfeusza — patrz i słuchaj. Oto ten śmieszny starzec też kiedyś kochał i przeżywał ból miłości i rozstania podobnie jak ty. Czy chcesz dożyć tych lat i zobojętnieć na wszystko, co nie jest dobrym jedzeniem i cygarem — jak on? Wierz mi, że dobrze się stało, iż Eurydyka odeszła od ciebie w kwiecie młodości i urody. Za kilka lat zdradziłbyś ją i tak wasza miłość nigdy już nie osiągnęłaby tych wyżyn, na jakich znajdowaliście się przez cały czas swojej krótkiej znajomości. Tak, ta mizerna bufoneria, którą reprezentuje twój ojciec, jest życiem. Czy wybierasz to życie, czy też wolisz połączyć się w śmierci z ukochaną, zanim jej obraz zblednie w twej pamięci? Nikt nie może osiągnąć w życiu ideału, więc lepiej z niego zrezygnować. Pójdź za mną."

I Orfeusz idzie. Posłusznie idzie w śmierć. Sztuka się kończy, gdy przy dźwiękach tonów jakby nie z tego świata idzie z podniesioną głową w krainę cieniów. Ale widza opadają wątpliwości. Postawa pochwały życia, którą reprezentował ojciec, nie jest taka bezsensowna, jakby się zdawało. Ostatecznie rezygnacja z życia jest najłatwiejsza ze wszystkiego. O ileż piękniejsza i bardziej godna jest walka nawet z świadomością ostatecznej przegranej w ziemskim pojęciu.

Aleksandra Poleska

ŚWIĄTYNIA MITRY W WALE HADRIANA

W r. 1949 w wale Hadriana, który za czasów tego imperatora i później stanowił ochronę północnej rubieży rzymskiej Brytanii przed napadem Piktów, dokonano w pobliżu miejscowości Carrawburgh odkrycia kaplicy, poświęconej kultowi Mitry, jako boga słońca. Przeprowadzono później dokładne badania, o których świeżo mówił w prelekcji radiowej archeolog brytyjski, prof. Jan A. Richmond.

Kaplica, jak stwierdza on — przerabiana była cztery razy; ostatecznej przebudowy dokonano po r. 297 po nar. Chr. Pierwsza kaplica ma 22 stopy długości i 15 szerokości; zawierała ona ognisko rytualne, do którego używano węgla drzewnego oraz szyszek sosnowych, które paląc się wydzielają subtelny aromat. W tym stadium budowy powstał też pierwszy ołtarz, zbudowany przez dowódcę fortu, Aulusa Cluentiusa Habitusa z italskiego miasta Larinum.

W następnym stadium kaplica została rozszerzona dla pomieszczenia rosnącej liczby wyznawców przez dobudowanie głębokiej absydy. W głębi jej znajduje się półka kamienna z wizerunkiem Mitry. Poniżej stały ołtarze, z których największy i najpiękniejszy powstał między rokiem 213 a 222 i stanowił również dar dowódcy wojskowego.

Później kaplica i jej przedsionek zostały znów wewnątrz przerobione i ozdobione. Nawa miała posadzkę kamienną, gęsto pokrytą wrzosem, w który wdeptano kości ptaków, używanych na ofiarę. Ostateczna gruntowna rekonstrukcja kaplicy dokonana została za cesarza Maksymiana. W tym czasie kaplica przypominała nieco kościoły wczesno-chrześcijańskie. Obrzędy mitraistów uważane były przez ówczesnych chrześcijan za zasadniczą parodię ich liturgii. W przeciwieństwie jednak do powszechnego charakteru chrześcijaństwa, kult Mitry ograniczał się do małego stosunkowo grona osób, które stopniowo podnoszono na coraz wyższe stopnie wtajemniczenia.

NOWE FILMY

HEMINGWAY, HUGO I SZLACHETNI INDIANIE

„The Breaking Point", „The Hunchback of Notre Dame", „Battle of Powder River").

Hemingway ma szczęście do filmów. Choć nie zawsze oddają atmosferę i intencje jego powieści, są zwykle dobrymi, albo bardzo dobrymi dziełami kinematografii. Tak było z „Pożegnaniem z bronią", z „To Whom the Bell Tolls", z „Macomber Affair" — tak jest, choć w mniejszym stopniu, z pokazanym obecnie „The Breaking Point", powieścią stosunkowo późniejszej daty, przełożoną już na polski i wydaną po wojnie w Kraju pod zmienionym tytułem, którego nie mogę sobie przypomnieć, choć utwór czytałem przed rokiem.

W powieści mamy historię Harry'ego Morgana, właściciela łodzi motorowej (gdzieś przy granicach Meksyku), wpędzonego w nieszczęścia a potem w grób przez podłość ludzi bogatych, przez kryzys i trochę (tylko trochę) przez własną słabość. Wydźwięk społeczny tego utworu literackiego jest bardzo wyraźny, krytyka kapitalizmu ostra, choć miejscami niezręcznie narysowana. Są w powieści łatwizny (powiedziałbym po prostu amerykanizmy) rażące Europejczyka, ale intencje autora wydają się słuszne i piękne.

Nie całkowicie udało się reżyserowi utrzymać tę linię w filmie, choć zrobiony jest bardzo dobrze, a miejscami porywająco. Dramat Morgana (świetna kreacja Johna Garfielda) zbanalizowano, wybijając na plan pierwszy zewnętrzności jego przeżyć; dorzucono, rozdęto postać płochej dziewczyny (polującej na Harry'ego) — tylko po to, by dać pole do popisu — dobrej zresztą jak zwykle — Patrycji Neal; druzgocącą w założeniu autora krytykę kapitalistów stonowano do nieśmiałego pianissimo, uchodzącego niemal uwagi widza, który nie czytał powieści.

Mimo to film jest wybitny dzięki wysoce artystycznej robocie. Sceny rabunku w kasach totalizatora, nagrane na tło dźwiękowe komunikatów megafonowych o wynikach biegów — to doskonała synteza współczesnego bandytyzmu. Nic podobnego nie udało mi się nigdy zobaczyć na ekranie: po tej „robocie" (stanowiącej tu tylko mały fragment filmu) chodzenie na filmy gangsterskie traci wszelką atrakcyjność. Sceny końcowe w sposób bardzo wymowny wydobywają tragiczną samotność człowieka. Wszystkie role obsadzone dobrymi siłami, reżyseria wyśmienita. Choć całość jest chybiona z powodu braku kośćca myślowo-ideowego — każdy niemal skrawek taśmy tego filmu jest przykładem mistrzowskiego zastosowania języka filmowego. Gdyby Hemingway był wielkim pisarzem — Curtiz mógłby zrobić z jego powieści filmowe arcydzieło.

„Dzwonnik z Notre Dame" — to płód także ułomny mimo, że rolę tytułową wspaniale zagrał Charles Laughton, który nigdy nie gra gorzej niż świetnie. Dano mu przerażającą maskę, z której potrafił wydobyć ludzkość, czułość, niemal że piękno. Zawiodły: tło i nastrój. Reżyseria zaledwie przeciętna. Amerykanie mają antytalent do historycznych filmów z terenu Europy. Często trudno wykryć dlaczego nie udaje im się wywołać złudzenia rzeczywistości, czemu widz nie wierzy makietom, dlaczego zbyt silnie odczuwa fałsz rekwizytów, kostiumów i reflektorów. Jeśli chodzi o „Dzwonnika", to uderza dysproporcja pomiędzy kreacją Laughtona i grą pozostałych aktorów, guzdrzących się w przeciętności (Cedric Hardwicke, M. O'Hara i tuzin innych). Realia zbyt tandetne, by wciągnąć widza w filmową fikcję. Niszczą złudę zbyt kolorowe bloki kamienne, miotane na nieprzyjaciół przez Quasimodo, zbyt obfite strugi lanego na łby motłochu — nie wiadomo skąd czerpanego — płynnego ołowiu. Są to brzydkie grzeszki przeciw realizmowi, których łatwo można było uniknąć. W każdym razie film warto obejrzeć dla wspaniałego Laughtona: wszystkie sceny z nim są doskonałe, czasem wstrząsające.

„Bitwa nad Powder River" to jeszcze jeden film z Dzikiego Zachodu, odbiegający od dawnego (ale nie od najnowszego) szablonu tendencją proindiańską. Tu Indianie wiernie dochowują traktatów, a łamie je niesubordynowany, nie szanujący prawa żołnierz amerykański. W końcu jednak szlachetny skaut (Van Heflin) godzi zwaśnione strony. Wszystko to pokazano w dobrym technikolorze, z normalnymi w tym rodzaju filmowym porcjami koni, szumu, strzelb, trupów i wystrzałów. Film nieszkodliwy dla nikogo, dla naiwnych budujący, być może.

(sp)

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

REORGANIZACJA B.B.C.

Specjalna komisja pod przewodnictwem lorda Beveridge'a, ustanowiona w czerwcu 1949 r., zbadała zagadnienia , związane z B.B.C., i ogłosiła obecnie swe sprawozdanie. W skład komisji wchodzili przedstawiciele wszystkich trzech głównych stronnictw brytyjskich i osoby, czynne na terenie różnych instytucji społecznych.

Główne zlecenie komisji zmierza do tego, by wszystkie publiczne transmisje radiowe w W. Brytanii, włącznie z telewizją i programami zamorskimi, pozostały nadal monopolem B.B.C. i by postanowienie to włączone zostało do nowej „*B.B.C. Charter*" (obecna „Charter" ważna jest tylko do końca r.b.). Sprawozdanie komisji dopuszcza tylko dwa, pośrednie zresztą, wyjątki tej zasady, mianowicie prywatną transmisję telewizji do kinoteatrów, oraz lokalne transmisje radiowe, dokonywane przez władze.

Niebezpieczeństwo rywalizacji między przedsiębiorstwami filmowymi a telewizją zażegnane będzie przez postanowienie, że kinoteatry nie będą miały prawa transmitowania obrazów telewizyjnych do mieszkań i że z obrazów tych korzystać będzie mogło także B. B. C. Nawzajem obrazy B. B. C. będą mogły być dostarczane do kinoteatrów. „Chwytanie" transmisji kinowych przez amatorów spośród publiczności uniemożliwione będzie przez „skanalizowanie" tych transmisji przy pomocy kabli. Innym sposobem może być używanie do transmisji bardzo krótkich fal, niedostępnych dla zwykłych odbiorników radiowych.

Większym niebezpieczeństwem rywalizacji grozić może istnienie krótkofalowych lokalnych stacji nadawczych. Zapobiec temu można — wedle komisji — przez postanowienie, że długość fal takich stacji stosować się musi do B.B.C., albo przez system wydawania przez B.B.C. licencyj dla władz lokalnych, uniwersytetów lub specjalnie utworzonych agencji.

Komisja wypowiedziała się za utrzymaniem zakazu transmitowania przez B.B.C. reklam handlowych. Jak wiadomo, stacje radiowe w wielu innych krajach przyjmują i transmitują różne ogłoszenia, także od firm prywatnych.

Sprawozdanie zaznacza, że z różnych stron, przede wszystkim ze strony Zrzeszenia Słuchaczy Radia (*Listeners Association*), padały pod adresem B.B.C. oskarżenia o popieranie propagandy komunistycznej. Zdaniem komisji skargi te nie były usprawiedliwione, komisja jednak zaleca, by w wypadkach wątpliwych częściej niż dotąd zwracano się o decyzję do gubernatorów B.B.C., nim transmisja zostanie nadana.

Komisja zaleca utworzenie trzech nowych, na poły niezależnych stałych komisyj B.B.C. dla programów regionalnych Szkocji, Walii i Północnej Irlandii. W ten sposób częściowo uczynić zadość postulatom Szkockiej Partii Nacjonalistycznej, Walijskiej Partii Parlamentarnej i Nowej Unii Walijskiej; organizacje te domagały się całkiem osobnych korporacyj radiowych dla swych krajów.

Sprawozdanie proponuje dalej udzielenie większej samodzielności działowi telewizyjnemu oraz utworzenie specjalnych audycji dla wypowiedzi i dyskusji tego typu jakie odbywają się co niedzielę w Hyde Parku...

W dziedzinie ściśle organizacyjnej sprawozdanie zaleca powiększenie liczby gubernatorów B.B.C. z siedmiu do dziesięciu. Nowa skala uposażeń przewiduje £ 4.000 rocznie dla prezesa (chairman) korporacji. £ 2.000 dla tych gubernatorów B.B.C., którzy czynni są także jako prezesi Komisyj Narodowych. £ 1.000 dla pozostałych gubernatorów B.B.C.. £ 500 dla pozostałych członków Komisyj Narodowych.

ADRIAN CHALIŃSKI

PIĘĆDZIESIĄT LAT TEMU I DZIŚ

JAK bodaj nigdy tak obecnie jest „noszony" rok 1900: w języku francuskim, bardzo, jak wiadomo, giętkim i nadającym się do tworzenia nowych słów i pojęć, mówi się już od dawna o „le dix-neuf-cent" jak się mówiło „fin-de-siècle". Urządza się rewie i pokazy z tego czasu, w radio raz po raz „na specjalne życzenie" czy też bez niego śpiewają czy grają piosenki z początku wieku „odgrzewając" Yvette Guilbert i inne sławy scenki.

— Jakież dobre czasy! — słychać nabrzmiałe tęsknotą i żałością słowa pani Durand, która wtedy była młodą, ładną, mąż jej zarabiał dobrze, za kilo cielęciny płaciła 1,50 fr., a za piękny kapelusz w „Louvre" 12 fr. z centymami! Co za czasy!

Tak, żyć a nie umierać! Tegoż zdania był pan Zygmunt Podfilipski, gdy opuszczał granice imperium rosyjskiego i mknął, przez Wiedeń, gdzie mógł w „Jokey Clubie" spotkać kogoś z przyjaciół galicyjskich, do Paryża a następnie „Nad Lazurowy Brzeg". Rok 1900 — przepraszam epoka 1900, — była niejako resztką, ale jeszcze pokaźną, tej „douceur de vivre", jaką ludzkość (oczywiście nie cała) znała w końcu „ancien régime'u". Dla pewnej części ludzkości świat (czytaj Europa a w ściślejszym określeniu Paryż, Wiedeń, Rzym, Londyn, w końcu może Berlin i Petersburg i kilka innych miast) był wielkim salonem, w którym się spotykało przyjaciół i przyjaciółki, w którym wymieniało się zdanie o bieżących wypadkach tj. teatrze, najnowszej książce Pierre Loti'ego czy Anatole France'a, o sprawach osobistych (zajmowały one 85% miejsca rozmów) i gdzie można było całkowicie oddać się pielęgnowaniu swoich upodobań, namiętności, zaciekawień, ambicji. Piękny okres! Nawet dla Polaków: oczywiście dla Polaków, którzy mieli dobrze albo dostatecznie wypchany portfel, nie przejmowali się narodowymi klęskami, pocieszając się, że „będzie lepiej" i dodając „privatim", że „na co przydać się może narzekanie?". Wprawdzie różnym ludziom paliło się w głowach i chcieli przebudować świat różni rozczochrani młodzieńcy kończący zazwyczaj „Na Pawiaku", rzucało się bomby, szmuglowało „bibułę", czytało nocami „Kapitał" Marxa, ale każdy przecież wiedział, że są to burzyciele pokoju, tego najwyższego dobra człowieka.

I świat ogółem biorąc toczył się jak po szynach wysmarowanych masłem, bo toczył się szybko i sprawnie... I coraz bardziej był przekonany, że to „dolce far niente" należy mu się prawnie na podstawie jakiegoś kontraktu z Panem Bogiem, na podstawie „Umowy społecznej" i że nie może być inaczej.

Byli wówczas jednak ludzie, dobrzy psychologowie i mający niejako „drugi słuch", którym wysłuchiwali to co szeptał duch tego świata. Odgłosy te z powodu małej czy za wielkiej ilości drgnień (nie mnie o tym sądzić lecz fizykom,) nie były dosłyszalne dla ogółu. Zresztą głosy tego świata pewnie stojącego na ziemi obiema nogami, świata mającego konta bankowe, stanowiska, wille nad morzem czy w górach, świata ludzi zadowolonych, ginęły w morzu tonów płynących z orkiestr grających z niezwykłym zapałem najnowsze walce i polki, najnowsze „wesołe wdówki" i „ptaszników z Tyrolu". Człowiekiem, który umiał — niby lekarz — wysłuchać w płucu ówczesnego światka szmery i spojrzeć w głąb jego duszy, był znany w owym czasie pisarz sceniczny Pailleron, autor „Świata nudów".

Jeśli mówimy właśnie o Pailleronie i właśnie o „Świecie nudów" dając całemu zjawisku niejako koloryt lokalny tj. parysko-francuski, to dlatego po prostu, że tutaj na zachodzie zjawiska te doszły do swego najwspanialszego rozkwitu. Tutaj też, niby w cieplarni, gromadziły się wszystkie kwiaty pewnego gatunku, korzystając z jedynego klimatu geograficznego i psychicznego Jasnego Brzegu, który we wszystkich literaturach świata w owej epoce był niejako stałym forum wydarzeń.

Mówiąc o tych czasach nie zawadzi nigdy dodać jeden i drugi szczegół, to czy owo nazwisko, bo przecież ogół współczesny jest równie daleko od tych czasów jak od wojny Białej i Czerwonej Róży. Rok 1900 żyje za lekką mgłą złudzeń, marzeń, lektury i fałszywych poglądów w kinie: w Paryżu właśnie grają „La Ronde" („Reigen") Artura Schnitzlera, czyli kilkanaście miłosnych epizodów zebranych w jedną całość filmu. Nie zaszkodzi też mówić o tym czasie z pewnym bagażem realnym, gdyż można się samemu zabłąkać na tajemnych ścieżkach przeszłości, biegnących w dwóch kierunkach: wspomnień (zawsze złudnych) i rozważań. Bo ileż trzeba szczegółów, ile dat i nazwisk, ile scen z życia, ile spojrzeń z boku, ile krytyk, aby jako tako zrozumieć człowieka innej epoki i ją samą! Aby pan X czy pani Y nie stała się jedynie fotografią, która naraz (jak w kinie) ożywia się i poczyna grać przed oczyma naszej fantazji, ale był czy była istotnie tym panem X czy panią Y sprzed 50-ciu laty.

Pozwolę sobie wtrącić tutaj małą dygresję, która jednak łączy się z tematem, gdyż wykaże jak trudno zrozumieć epokę, którą się przeżyło i jak trudno się od niej oderwać. Jeśli Józef Weyssenhoff stworzył kapitalną sylwetkę Podfilipskiego, tego polskiego snoba „pur sang" w sosie warszawsko-prowincjonalnym, należało by przypuszczać, że uchwycenie śmieszności tej postaci szło równolegle do krytyki epoki, że ironiczny uśmiech nad Podfilipskim był dalszym ciągiem uśmiechu nad rokiem 1900. Było jednak zupełnie inaczej: mówiłem z Weyssenhoffem na temat Podfilipskiego i jego epoki. Wielki autor „Sobola i panny" opisał Podfilipskiego jako typ zdarzający się w każdym wieku, a śmiesznostek owego „mil-neuf-cent" nie widział. Uważał, że tak wtedy było wszystko w porządku: poszanowanie władzy, pieniądza, człowiek jest swoim własnym panem (o ile pozwala mu na to sytuacja społeczna).

A mimo to, zdaniem pana Pailleron, ludzie się nudzili... Nudzili się do utraty przytomności, do łez, nudzili się do rozpaczy. Stają mi w pamięci różne postacie z tych (lub trochę późniejszych) czasów, w każdym razie sprzed roku 1914, tj. końca „ancien régime'u" numer drugi.

Życie roku 1900 było normalne: nie było paszportów, były tylko bilety kolejowe, które trzeba było wykupić. Przynależność partyjna była obojętna ,chyba że się należało do anarchistów lub wywrotowców. Człowiek zaopatrzony jako tako przez fortunę, urodzenie, majątek, inteligencję szedł swobodnie naprzód, jeździł, zwiedzał, kochał i nienawidził, żenił się i rozwodził, leczył swe dolegliwości w Kissingen, Vichy, Aix-Les-Bains lub Monte Catini (gdy był Polakiem jeździł do Zakopanego, które znał z „Skalnego Podhala" Tetmajera) i wracał znów do swych pieleszy myśląc o sobie, o sobie, o sobie. . . Bo myślano wtedy bardzo wiele o sobie: dlaczegóżby nie? To takie ciekawe i zabawne, zwłaszcza jak się nie ma innych zmartwień. Ostatecznie człowiek jest sam sobie najbliższy, to wiedzieli już starzy Rzymianie. A cóż dopiero my, ludzie postępowi, nowocześni. Aha! były też sprawy decydujące o przyszłości tj. postęp. Jakże śmiesznie wyglądali ci pierwsi automobiliści w tych okularach a panie w zawojach! Wszystko rozgrywało się w ramach „normalnych": można było spać spokojnie. Na oba uszy.

I stąd, w pewnych chwilach, przychodziła nuda. Naówczas, za czasów Przybyszewskiego, symbolizmu, czasów Maeterlincka i jego „Niebieskiego Ptaka", napisano by ją wielką literą... Dlaczegóżby nie! Pisana małą czy dużą literą, nuda była olbrzymia. Wciskała się do gabinetu, gdy poważny człowiek robił obliczenia fortuny, i siadała na jego biurku, wdzierała się nieproszona do salonu, szepcząc coś do ucha damom, ba! nie cofała się przed wejściem do buduaru, w którym dwoje kochających decydowało o wspólnym szczęściu... Nuda była nieznośna. W tym to czasie pewien lord angielski zastrzelił się twierdząc, że nie może dłużej żyć i poddawać się codziennie tym samym czynnościom jak wstawanie z łóżka, mycie się, golenie, ubieranie itd. Stąd też, aby uciec przed nudą, trzeba było zdwoić zabawy, wyjazdy, flirty, zdrady itd. Żyło sporo narkomanów... z nudów. Z niezaspokojonych marzeń, niedoszłych nadziei, zranionego serca, depresji ogólnej i szczególnej itd. Umieszczeni w wygodnych sanatoriach niemieckich czy francuskich tj. hotelach mających przywilej powagi i pewnego skupienia, „chorzy" odzwyczajali się latami, pędząc stosunkowo miły żywot. . .

Ludzie się nudzili w tym roku 1900. Nie wszyscy: byli tacy, którzy nie mieli na to czasu, bo musieli myśleć o chlebie codziennym, bo mieli na karku obowiązki przerastające ich siły, bo niedojadali, bo mieszkali w wilgotnych, nędznych komórkach, w suterynach, w chałupach. Ale nudziło się wielu, za wielu... W chwili przeciwstawiania społecznych różnic i poruszania społecznych rekryminacji, muszę uważać, aby nie napisać szablonowego „samograja" o kapitaliźmie, socjaliźmie, robotniku, krwiopijcach itd., który by mógł się znaleźć w piśmie „ludowej demokracji". Byłoby to niepotrzebne, bo chodzi mi nie o wykazanie niesprawiedliwości społecznych owych czasów, które były wielkie, ale o co innego.

Chodzi mi o to, że w lat pięćdziesiąt później, tj. w roku Pańskim 1950, mimo tylu zmian właściwie zmieniło się tak mało. Może sądzę zbyt pesymistycznie i widzę tylko podwórko paryskie, jakże niezamiecione, brudne mimo perfum, podwórko „mil-neuf-cent". Ale zdaje mi się, że podwórek tych jest więcej: lokatorzy szczelnie zamykają okna na podwórko, zapuszczając story i zdaje im się, iż wypadkom się wydaje, że ich nie ma w domu. Niestety, nie wiedzą, że wszyscy stróże na świecie i to bodaj od chwili, kiedy ta instytucja zaistniała, już nie wiem za którego króla (może Filipa Augusta albo Ryszarda Lwie Serce) są zawodowymi szpiclami i donosicielami.

Tak, w niezliczonych miastach Europy (mówmy tylko o niej), w setkach tysięcy i milionach domów, ludzie zamknęli drzwi, pozasłaniali okna, odgrodzili się od reszty świata. Ludzie współcześni będący za „starym porządkiem" tj. nie życzący sobie przewrotu komunistycznego, pomagają temu staremu porządkowi biadając, potęgując swą troskę o własne i jedynie własne interesy, i czekając co będzie dalej. Z domów tych i z tych ludzi wieje pustka, nuda, zmęczenie, bezmyślność. Są to ludzie znajdujący się między dwoma stanami duszy: są za słabi, aby żyć, ale też zbyt bojaźliwi, aby umrzeć. Wobec tego wegetują, — jak to świetnie określa słowo „vivoter", czyli żyją potrochu.

Ten wielki podział w narodach (nie wszystkich oczywiście i na szczęście) zachodnio-europejskich na nudzących się „beati possidentes" i łaknących władzy, chleba, zabaw, „panem et circences", jest jaskrawy. Punktem wyjścia u obu jest egoizm, bardziej, moim zdaniem, wybaczalny u tych, co nie mają nic albo mało. Tymczasem ci „possidentes" marzą tylko o tym, aby się nic nie zmieniło. Życie ich, w zasadzie tak puste, głupie nieraz, sztuczne, tak im się podoba, że za żadną cenę nie chcą go zmienić. Zwłaszcza tu w Paryżu i we Francji, te same gesty, te same odruchy ciała i serca i duszy, te same nawyki, słowa, zdania, poglądy, powtarzane są z precyzją automatu. Ma się nieraz wrażenie, że się jest wobec świetnie skonstruowanej lalki, mówiącej nie tylko „tata" i „mama", ale wygłaszającej całe przemówienia. W dzienniku „Journal du Dimanche" obok sprawozdań z Korei, o niepewności pokoju, możliwości konfliktu światowego, kilku samobójstwach tak zawsze „smacznie" spreparowanych w prasie francuskiej, czytam tytuł artykułu „dla pań". „Rozpocznijcie życie w piękności jak Marlena Dietrich i księżna Windsoru". Oczywiście artykuł z przepisami kosmetycznymi, z radami jak zachować urok dla mężczyzny. Nic się nie zmieniło!

Co za straszna rzecz być zamkniętym w granicach swych pięciu zmysłów tych „realiów" życiowych: nie móc wyjrzeć poza rogatki i być skazanym na swoje własne, jakże nudne towarzystwo! Bo człowiek „realny" staje się nudny, jałowy, czczy. A tymczasem świat zachodni idzie coraz bardziej ścieżką realizmu: zwycięstwo oblicza tylko na ilość armat, bomb, na tony surowców, węgla, wełny, żelaza itd. Wierzy w „złotą kulę", która kończy wojny. Wierzy w wyższość swej techniki. Wierzy w materię, ubraną niby prosiaczek wielkanocny w różnokolorowe frazesy o treści ideologicznej. Nie było w świecie takiego przerostu frazesu, blufu słowa, dewaluacji jego znaczenia.

Z tej ciasnoty serca, z coraz większego braku jakichkolwiek czynników moralnych, z wynaturzenia religijności, z oddalenia się od Boga jako źródła natchnienia i życia duchowego a dzięki zamknięciu Go w formułkach zewnętrznych Zachód popada w odrętwienie, w paraliż, w bezmyślną zadumę, w nudę. Zmysły jego są zmęczone i prawie nie są już ciekawe nowych dreszczy, a dusza jest obojętna na wszystko, bo straciła kontakt z Bogiem. U młodych ludzi jeszcze widać naiwną radość życia zwierzęcego: widać jak się cieszą sobą, jak każdy szczegół ich fizycznego życia jest dla nich miłą rewelacją, jak doczekać się nie mogą aż zasiądą do stołu uciech. Młodość ich poniekąd tłumaczy. Gorzej jest z starszymi: ci, mając częściowo wstęp zamknięty do wielu uciech żywota, czekają w nudzie końca. Niedawno poznałem kulturalnego Francuza, właściciela pięknych zbiorów japońskich drzeworytów. Wielka, wspaniała willa zawieszona jest od stóp do głów tymi drzeworytami, obrazami, zastawiona wazami chińskimi itd. Pan ów począł kilka tygodni temu sporządzać katalog swych zbiorów.

— Zapewne celem zapisania rodzinie? — spytałem go.

— Nie, bynajmniej. Przecież tutaj przyjdą niezadługo bolszewicy, więc... — ale nie dokończył swej myśli. Może się jej wstydził, a może w ogóle nie wiedział co powiedzieć? Zdaje mi się jednak, że ów spis zbiorów był wynikiem pewnej odwiecznej dokładności i nawyku sporządzania różnych „comptes-rendus". I on, ostatni z Mohikanów, chciał może swe zbiory oddać w porządku nowemu reżymowi... Chciał odejść z tego świata czysty wobec ...dyrekcji przyszłych muzeów ludu. Dziwna psychologia.

Gdy tysiące ludzi siedzi w domu, biadając nad tym co być może, i walcząc o swój osobisty dobrobyt, za zamkniętymi szczelnie drzwiami, potrzeba by im tylko wyjść nieco dalej za swą ulicę, aby nabrać zainteresowanie dla życia. Zniknęłyby nuda i marazm: zapulsowałaby żywo krew, zaczerwieniłyby się policzki. Egoiści myślący o sobie, znudzeni życiem, pójdźcie do dzielnic biedoty, zajrzyjcie do obozów uchodźczych w Niemczech, zwiedzajcie obozy dla kilkuset tysięcy uchodźców z kolonii włoskich, gdzie panują zakaźne choroby spowodowane głodem, obejrzyjcie kraje spustoszone przez wojnę, gdzie głodne dziecko jest głodnym dzieckiem bez względu na narodowość zapisaną w wykazie osobistym, albo nawet, — nie idąc daleko — zainteresujcie się waszymi własnymi dzielnicami nędzy i przyjdźcie im z pomocą. Spytajcie się księży paryskich z t. zw. „banlieu rouge", jaką oni widzą beznadziejność moralną i fizyczną, jakie spelunki, w których od dziesiątek lat nie było słońca, nie było spokoju, nie było sumienia i radości! Chciało by się, idąc Polami Elizejskimi, przez które suną setki wspaniałych samochodów, cichych, tajemniczych, pieszczotliwych i gibkich jak koty, stanąć naprzeciwko nich, zatrzymać je i posłać ich pasażerów do dzielnic biedy. Czyż do ostatniej chwili, do ostatniego tchnienia, będziecie myśleć tylko o sobie, czyż nie zdobędziecie się na tę dobroć i ten wysiłek duchowy, który jest potrzebny, aby uratować ludzkość przed straszną burzą, huraganem dotąd nieznanym, przed zniszczeniem, czy nie rzucicie na szalę nic prócz waszych obliczeń, waszych armat, i wynalazków i czy nie przestaniecie wierzyć z uporem obłąkańca, że świat zbawiony będzie w materii? Jak chcecie zwalczać materializm wojujący, gdy sami jesteście materialistami?

Nie! Nie zatrzymam aut na Polach Elizejskich: miałbym do czynienia z policją a może z domem obłąkanych. A, jak wiadomo, jest rzeczą niezwykle trudną przekonać wariatów, że się jest samemu normalnym...

A. Chaliński

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734